O pewnym popołudniu literackim w Toronto

Edward Zyman

Tajemnicze zdjęcie sprzed lat



Wieczór poświęcony Wacławowi Iwaniukowi w 1984 roku w Toronto. Od lewej: dr Maja Cybulska, Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, prof. Florian Śmieja, Irena Habrowska-Jellaczyc, fot. arch. F. Śmieji.

Likwidując swój księgozbiór (wcześniej czy później uczynić to musi każdy sędziwy pisarz), prof. Florian Śmieja natknął się na intrygujące zdjęcie. Przedstawia ono cztery rozpoznawalne w środowisku artystycznym polskiej diaspory postacie: cenioną aktorkę, twórczynię w latach 70. ubiegłego wieku Polskiego Teatru w Toronto, Irenę Habrowską-Jellaczyc, Floriana Śmieję – poetę, tłumacza, profesora iberystyki na uczelniach w Anglii i Kanadzie, Jadwigę Jurkszus-Tomaszewską – eseistkę i reporterkę, autorkę m. in. ważnej książki dokumentującej

półwiecze kultury polskiej w Kraju Klonowego Liścia *Kronika pięćdziesięciu lat. Życie kulturalne polskiej emigracji w Kanadzie* i tajemniczą brunetkę, którą okazała się dr Maja Cybulska – poetka i eseistka, autorka pierwszej książki monograficznej o żyjącym poecie na obczyźnie, zatytułowanej *Wacław Iwaniuk. Poeta*.

Znalazca zdjęcia usiłował osadzić je w torontońskich realiach, ale kapryśna pamięć potrafiła odtworzyć jeden tylko szczegół: że zdjęcie zostało zrobione w sali Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy 206 Beverley Street, w swoim czasie „etatowego" miejsca polskich imprez artystycznych i kulturalnych. Podjęte przez Profesora „badania", do których zaprosił także niżej podpisanego, pozwoliły ustalić, że zdjęcie rejestrowało fragment wieczoru z dr Mają Cybulską, przybyłą do Toronto z okazji promocji wspomnianej wyżej książki, i Wacławem Iwaniukiem, książki tej głównym bohaterem.

Kolejne kroki „śledcze" pozwoliły na ustalenie dalszych szczegółów. Niezwykle pomocny okazał się w tym artykuł Mariana Relińskiego „Popołudnie literackie w Toronto", opublikowany na łamach „Głosu Polskiego" w dniu 10 października 1984 roku. Przytoczmy jego obszerne fragmenty:

> W dniu 27 września 1984 w domu SPK w Toronto odbyła się,

staraniem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, niecodzienna impreza literacka, spotkanie z autorami dr Mają Cybulską z Londynu i Wacławem Iwaniukiem. W imieniu SPK przywitał gości wielki przyjaciel pisarza i książki Marian Chyliński. O sylwetce literackiej Maji Cybulskiej mówiła dr Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, podkreślając osobowość, osiągnięcia pisarskie autorki książki *Wacław Iwaniuk. Poeta*, historyczny fakt w dziejach naszej literatury emigracyjnej dotąd bez precedensu, że gościmy dzisiaj nie tylko poetkę i eseistkę, ale pisarkę, która opublikowała pierwsze studium o pisarzu żyjącym poza granicami kraju. Dr Maja Cybulska opowiedziała o swym warsztacie literackim, poszukiwaniach twórczych, cytowała fragmenty swej pracy i poezji. W drugiej części przedstawiła fascynująco jak pisała książkę o Wacławie Iwaniuku.

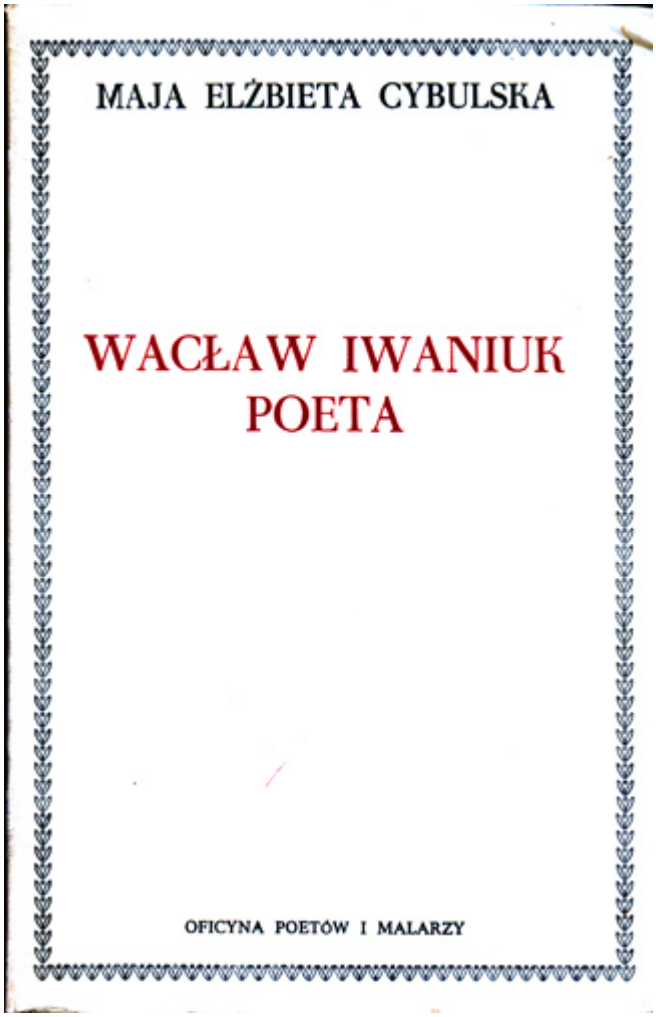
MAJA ELŻBIETA CYBULSKA
WACŁAW IWANIUK
POETA
OFICYNA POETÓW I MALARZY

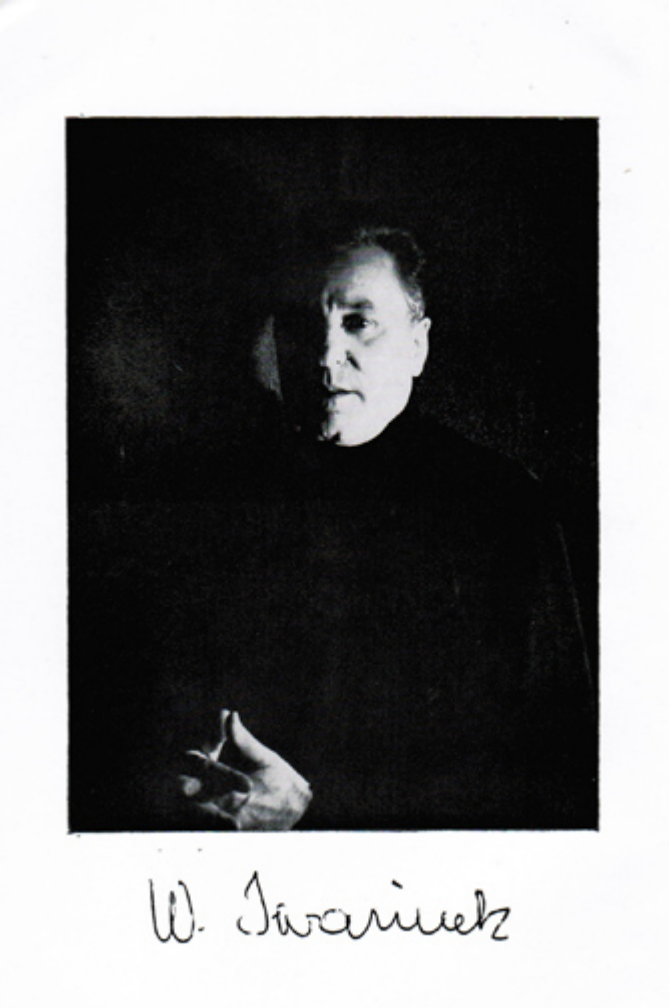

W dalszej części artykułu autor informuje czytelników, że program „wypełniły recytacje wierszy Iwaniuka w świetnej, pełnej ekspresji interpretacji Ireny Habrowskiej-Jellaczyc, Mai Cybulskiej i samego poety”, a imprezę „prowadził jeszcze jeden poeta – prof. Florian Śmieja”.

Z życzliwej relacji Relińskiego wynika, że tytułowe popołudnie literackie w Toronto okazało się bardzo udane. Nic więc dziwnego, że publiczność „zgotowała obu autorom gorącą, spontaniczna owację”. Podkreślając ten fakt, Reliński stwierdza:

> Niewątpliwie Popołudnie Literackie było wydarzeniem w powodzi imprez różnorodnego pokroju na naszym terenie. Szkoda tylko, że nie dopisała publiczność i ta „kulturalna”, i ta, która woli pikniki. Nie widzieliśmy również na sali wielu przedstawicieli emigracji najnowszej, stale narzekającej na marazm kultury i brak jakichkolwiek poczynań w tej dziedzinie. Wacław Iwaniuk, jeden z największych żyjących poetów polskich, znany jest w całym wolnym świecie. W Polsce piszą o nim rozprawy naukowe, w Londynie książki. Groteskowym wprost zjawiskiem jest, że nie uznaje go… polska społeczność w Kanadzie. Zawiść? Niechęć? Jak wielu innych pisarzy, jest niekonformistyczny i uważa, że polskie wady narodowe należy piętnować i tępić. (…) Może nie od rzeczy będzie tu zanotować celną odpowiedź jednego z przyjaciół Iwaniuka, udzieloną jojczącemu „krytykowi”. – Panie drogi, za 20-30 lat ani ze mnie, ani z pana nie pozostanie śladu. Iwaniuk natomiast zostanie. Na zawsze. W literaturze.

Prorocze słowa owego przyjaciela nie zaskakują. Iwaniuk rzeczywiście w literaturze polskiej pozostał. Że tak właśnie będzie Marian Reliński nie miał najmniejszych wątpliwości. Co nie dziwi, zwłaszcza, że – jak ustaliły dalsze „badania” – pod pseudonimem Relińskiego ukrywał się wyśmienity ekspert – znany pisarz, reporter i prozaik, zmarły w 2002 roku, Adam

Marian Tomaszewski.

Wrzesień

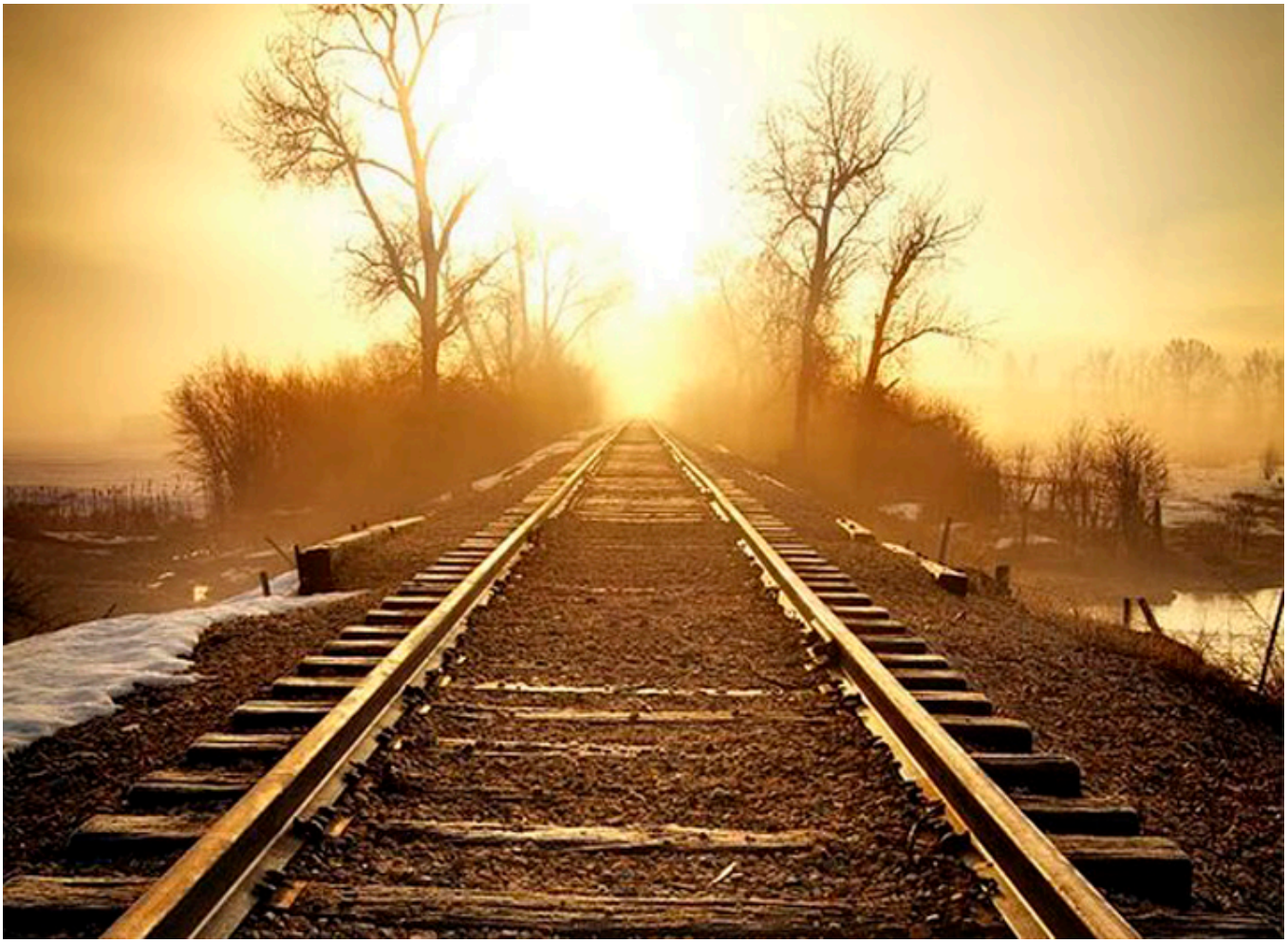

Fot. Clint Losee, pinterest.

Florian Śmieja

Kiedy w piątek 1 września 1939 roku o brzasku alarm przeciwlotniczy spędził nas do piwnicy domu przy Placu Karola Miarki w Katowicach i słychać było wybuchy bomb na lotnisku, jak się później miało okazać, kuzyn z ważną miną instruował krewniaków ze wsi, którzy się u niego schronili, jak należało się zachować w drastycznych sytuacjach. Powszechnie spodziewano się ataku gazowego, a wtedy pouczał, trzeba było posiusiać chusteczkę i przyłożyć do nosa i ust. Zapamiętałem sobie tę procedurę. Dosadność jej nie pozbawiona pewnej dozy komizmu, nie dała o sobie zapomnieć przez całe życie.

Po południu tego samego dnia, kiedy stało się jasne, że wojska niemieckie przekroczyły granice Polski, znalazłem się na dworcu kolejowym, by łapać pociąg jadący na wschód, w pierwszym rzędzie do Krakowa.

Nie wiem, jak to się stało, że pojawił się nagle znajomy ojca z sąsiedniej wsi, architekt Wieczorek, zatrudniony pod Stryjem, który wracał do pracy i czasowo przebywającej tam rodziny w huculskiej wsi Majdan Drohobycki. Zgłosił gotowość zabrania mnie ze sobą. Byłbym daleko od frontu, bezpieczny. Z błogosławieństwem matki, pragnącej ratować najstarsze dziecko, w mundurku gimnazjalnym, z małą walizeczką, nieodłączną lśniącą, niklowaną wiatrówką marki diana, złotym kieszonkowym

zegarkiem ojca i banknotem stuzłotowym w kieszeni pojechałem w nieznane.

Na peronie panował wyjątkowy tłok. Kiedy podstawiono wagony, tłum runął na nie bez ładu i składu. Każdy zdał się imać tej deski ratunku przeczuwając, że może już nie być następnej okazji. Ten, kto nie miał większych bagaży, poruszał się swobodniej, właściciele wielkich ciężarów mordowali się, by je pomieścić w przedziałach już zatłoczonych do granic pojemności. Pamiętam, jak mężczyzna obarczony pół tuzinem bagaży mozolnie je pakował do przedziału nie zważając na protesty stłoczonych pasażerów, którzy już utyskiwali z powodu braku miejsca i w końcu widząc kolejne walizki wkładane im na głowy, otworzyli drzwi z drugiej strony i wyrzucali bezceremonialnie bagaże na przeciwległy peron.

Po długim postoju pociąg wreszcie ruszył z dworca i wyjechał z miasta a wnet potem i ze Śląska, kierując się przez graniczną Przemszę na wschód do Małopolski. Mijaliśmy pociągi wojskowe z żołnierzami pełnymi animuszu. Na trójnogach sterczały karabiny maszynowe mające chronić przed atakami lotniczymi. Na bezchmurnym niebie ciągnęły eskadry srebrzących się samolotów. “Te srebrne samoloty są czeskie”, pocieszali się ludzie, chcąc jakoś dezawuować potęgę nieprzyjaciela.

Z wysokiego nasypu, na którym zatrzymał się pociąg, byliśmy

świadkami bombardowania Krakowa i niskich, krótkich lotów polskich myśliwców nie chcących się narazić liczniejszemu i szybszemu nieprzyjacielowi.

Na dworcu krakowskim było ludno, ale ludzie stali jeszcze posłusznie przy kasach po bilety. W jednym z ogonków zauważyłem swojego profesora matematyki z Tarnowskich Gór, Brońca. Załadowaliśmy się do pociągu jadącego do Lwowa. Był przepełniony. Zaraz po wyjeździe oglądaliśmy leżący obok toru zbombardowany pociąg, ciała leżały nietknięte przez nikogo. Samoloty latały niebezpiecznie blisko. Jechaliśmy wolno dalej. Często, kiedy pociąg nasz musiał przystawać, pasażerowie gnali w pole biegnąc jak szaleni jak najdalej od torów w obawie przed atakiem. Przypominam sobie, że jadący z nami umundurowani wojskowi przodowali w tych biegach. Potem wracaliśmy do wagonów i ruszali dalej.

Nadeszła noc, a ponieważ jechało z nami wielu Żydów, zaczęły się w całym pociągu głośne modły szabasowe i śpiewanie. W ciemności, w atmosferze nieznanej religijnej euforii zbliżaliśmy się do Lwowa.

Wyszedłem z Wieczorkiem na miasto. Oglądaliśmy pierwsze trafione przez bomby kamienice, bodaj przy ulicy Krótkiej. Najwidoczniej chybiły celu. Były ofiary wśród ludności cywilnej. Wróciliśmy na dworzec, a mając czas do odejścia pociągu do

Stryja, zamówiliśmy obiad. Kiedy jedliśmy z apetytem ciepłą strawę, zawyły syreny, a potem rozległo się terkotanie karabinów maszynowych obrony przy hali dworcowej. W panice razem z innymi, pozostawiwszy wszystko biegliśmy do schronu. Kiedy alarm minął, nikt już nie inkasował pieniędzy. Pod wieczór odjechał lokalny pociąg do Stryja. Wysiedliśmy w szczerą noc na małej stacyjce, której nazwy nie pamiętam. Opadło nas natychmiast kilku mężczyzn uzbrojonych w długą broń palną Obawiano się dywersantów i szpiegów. To lokalna straż obywatelska czuwała nad bezpieczeństwem. Czekaliśmy razem z nią do rana na drezynę przedsiębiorstwa (Skarbofermu?), która nas zawiozła do odległej wsi na tereny budowy.

Dzieci i żona Wieczorka ucieszyły się ogromnie z przyjazdu ojca. Byli teraz razem, a do dyspozycji mieli mały samochód marki steyer, którym odbyłem pierwszą w życiu przejażdżkę prywatnym samochodem po rozległej górskiej wsi.

Zamieszkałem w chacie jednego z zaprzyjaźnionych gospodarzy. Płaciłem drobną kwotę za stancję i kupowałem sobie chleb, masło i mleko rozmieniwszy banknot. Zacząłem oszczędne życie czternastolatka w szerokim świecie. Górska, zalesiona okolica łudziła sielankowym krajobrazem i spokojem, choć już dochodziły wieści o podpaleniach i mordach, o ukraińskich bandach napadających na gospodarstwa. Na niebie pojawiały się niekiedy niemieckie samoloty zwiadowcze, ale przelatywały dalej.

Słuchaliśmy radia. Jego meldunki były tajemnicze i niejasne. Zaczęły szerzyć się plotki, domysły i zmyślenia.

We wsi, w której był tartak i budowano kościół katolicki, pojawiło się trzech urzędników pocztowych pracujących na Śląsku. Skorzystali oni z przymusowego pobytu, by zamówić u lokalnego szewca oficerki. Za te śliczne buty z cholewami z cieniutkiej skórki zapłacił jeden z nich, dobrze pamiętam, woreczkiem z grosikami w sumie 60 złotych. (Nie wiem, co było na terenach zajętych przez Sowietów, ale Niemcy zdewaluowawszy polskie pieniądze, pozostawili przez pewien okres wartość grosza i bodaj dwugroszówki).

Parotygodniowa sielanka w krainie odciętej od świata nie mogła jednak trwać bez końca. Wieści o podpalaniu przez Ukraińców gospodarstw polskich zaczęły niepokoić, a wreszcie gruchnęła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do wschodniej Polski.

Wieczorek pospiesznie spakował rodzinę, na wolne miejsce w samochodziku wziął swojego czeladnika. Mnie kazał wracać na własna rękę. Niespodziewanie jednak zgodził się zabrać moją niklowaną wiatrówkę i, o dziwo, jakimś cudem dowiózł ją rodzicom!

Dla mnie zaczęła się prawdziwa odyseja. Przyłączyłem się do pocztowców ze Śląska, nasz kierunek wędrówki był ten sam. Nie

chcieliśmy za żadną cenę znaleźć się w mocy Sowietów. Miałem przy duszy złoty zegarek i osiemdziesiąt złotych. Wynajętą furmanką wyjechaliśmy w kierunku Borysławia i Drohobycza. Jechaliśmy rankiem na północny zachód czując, że załamuje się pozorny spokój. W przysiółkach i wsiach, przez które wypadło nam jechać, krążyli ludzie w podejrzanym ożywieniu. Kiedy przystawaliśmy, wyrastali spod ziemi chłopi, którzy bezceremonialnie chwytali konia za uzdę wołając, że to ich „kiń" i wszczynali awanturę, z której jakimś cudownym zrządzeniem udawało nam się uwalniać i jechać dalej. Pod Borysławiem w lesie na daremno krzyczeli na nas Ukraińcy żądający, byśmy się zatrzymali. Pocztowcy kazali jechać szybciej, a w pewnej chwili, kiedy bojówka ukraińska zaczęła ścigać wóz, w ich ręku pojawiły się pistolety, które Ukraińców powstrzymywały na dystans, choć nadal ciągnęli za nami. Najwidoczniej nie mieli amunicji do strzelb, którymi wymachiwali, więc uciekliśmy im z duszą na ramieniu i z ogromną ulgą zobaczyli, kiedy wyjechaliśmy z lasu, niemiecki posterunek. Nie zapomnę wyrazu zdumienia na twarzy Niemca, który zapytawszy rutynowo, czy posiadamy broń, zobaczył dwa okazałe pistolety, które pocztowcy mieli w pogotowiu na wozie. Po rozmowie, urzędnicy znali niemiecki, oddaliśmy broń, a w komendanturze otrzymali zaświadczenie na cztery osoby jadące na Śląsk.

Nad Drohobyczem stały nadal jeszcze czarne chmury płonącej rafinerii zbombardowanej na początku wojny. Zaopatrzywszy się

w chleb spędziliśmy na kwaterze noc słuchając strzałów patroli, strzegących zakazu poruszania się w nocy.

Kolejną furmanką pojechaliśmy do Sambora i Chyrowa. Stamtąd zajechaliśmy do Sanoka. Przez Krosno trafiliśmy do Jasła. Zawieziono nas tam jakąś ciężarówką. Niemiecką? Pamiętam tylko, że kiedy zeskoczyłem z wozu na ziemię, podeszły do mnie dwie kobiety i zaprowadziły do swojego domu, gdzie nakarmiwszy mnie, ofiarowały nocleg. Było to przy ulicy Sobieskiego? Następnego rana jechaliśmy do Tarnowa i tam załadowaliśmy się do towarowego pociągu z jeńcami jadącym na zachód do Niemiec. Wtedy bodaj stałem się właścicielem solidnego koca ułańskiego, który ktoś porzucił. Tak dojechaliśmy do Krakowa., gdzie pocztowcy postanowili wysiąść i trzeba się było z nimi pożegnać. Straciłem nie tylko pomocnych bardzo towarzyszy, ale ponadto wspólną przepustkę, którą zabrali z sobą. Jechałem dalej sam, chłopak ledwo czternastoletni, w gimnazjalnym mundurku, z wojskowym kocem, ale bez żadnego dowodu osobistego wśród przygnębionych jeńców wojennych eskortowanych do obozów przez niemieckich konwojentów.

Sunący wolno pociąg zatrzymał się na szczęście na dworcu w Katowicach. Nie poznałem go zupełnie. Wszędzie wisiały niemieckie flagi i szwabachą czerniejące napisy *Kattowitz.* Udało mi się wyskoczyć na peron. Roiło się od niemieckich żołnierzy. Zbliżyłem się ostrożnie do wyjścia z dworca: żołnierz stał przy

kolejarzu odbierającym bilety.

Nie miałem żadnego biletu. Zacząłem się kręcić w pobliżu przeszukując na próżno kieszenie. Namacałem proszek na ból głowy tzw “kogutek”, którego opakowanie kolorem i wielkością nie różniło się tak bardzo od formatu kartonika biletu. Myśląc gorączkowo nad sposobem wydostania się na miasto, zauważyłem, że zbierający bilety robił to machinalnie i byle jak, mało zważając na wkładane mu do ręki bilety. Nie namyślając się długo wszedłem między kilka osób i kiedy przyszła moja kolej, włożyłem proszek między bilety trzymane w dłoni przez nieuważnego kolejarza. Znalazłem się po drugiej stronie bariery i drutów kolczastych okalających perony. Byłem już w hali dworca, a kolejarz oglądając później zebrane bilety pewnie się raczej ucieszył znajdując proszek zamiast tekturki.

W lot zorientowawszy się w sytuacji wybiegłem na miasto. Po kwadransie pukałem do drzwi mieszkania wujostwa. Kończył się wrzesień. Wróciłem z niespodziewanego wojażu cały i zdrowy. Nie rozumiałem dobrze, jak to się wszystko stało i co znaczyło. Tuliłem mocno koc, w kieszeni miałem złoty zegarek i sześćdziesiąt złotych.

.

El señor lobo. Józef Łobodowski (1909-1987).

Florian Śmieja



Józef Łobodowski 1938, fot. Narodowe Archiwum

Cyfrowe, za wikipedia.

Józef Łobodowski objawił mi się w aurze podwójnie egzotycznej: jako mistrz błyskotliwego słowa poetyckiego i jako mieszkaniec pociągającej Hiszpanii. Jego utwory czytałem w londyńskich „Wiadomościach" i paryskiej „Kulturze", zazdroszcząc zadziwiającej płodności pióra i czując wobec niej pewną rezerwę, bo hołdowałem raczej skromniejszemu modelowi, bardziej lakonicznej wypowiedzi, wolałem oszczędność słowa. To, co nas wiązało i różniło, to Hiszpania.

Mimo bolesnych doświadczeń więzienia w Figueras, Łobodowski czuł się w obowiązku zażarcie bronić Hiszpanii frankistowskiej, uważając, że każda krytyka godziła w niego osobiście, że krytykowanie równało się wrogiej ingerencji. Inkursje Jana Winczakiewicza i moje w sprawy hiszpańskie uważał za niedopuszczalne i poczuwał się natychmiast do obrony przybranej ojczyzny. Utrzymywał ponadto, że mieszkając w Hiszpanii posiadał lepszą od innych znajomość literatury hiszpańskiej. Istotnie, literaturą tą się zajmował, a nawet pasjonował. Była to jednak miłość entuzjasty, który brzydził się szkolarskim ślęczeniem nad książkami. Pożerał teksty i brał z nich to, co mu się podobało. Pisał o tej literaturze, tłumaczył ją,

w niej znajdował inspirację. Nie dla niego było zaglądanie do słownika. Język, którego zaczął się uczyć w więzieniu w Figueras, hartował w codziennym obcowaniu z Hiszpanami wszelkiego autoramentu, doskonalił w żywych kontaktach ludzkich, najchętniej w uroczych barach madryckich, gdzie przy winie bez końca toczą się namiętne rozmowy. Nieraz mu w tych miejscach towarzyszyłem, nie nadążając w poczęstunkach – po kilku koniakach i kawach pasowałem. Pamiętam, jak niekiedy musieliśmy się przenosić z jednego lokalu do drugiego, w miarę jak się robiło późno i bary zamykały się nad ranem. Lobo, jak go zwykle tam nazywano (lobo to po hiszpańsku wilk) znał klientów, pociągając fajkę wykrzykiwał na prawo i lewo swoim stentorowym głosem i twardą wymową cięte dowcipy i komentarze, ciesząc się z żywej reakcji obecnych.

We mnie spotkał jednego z intruzów w prywatnym rewirze, gdzie pragnął rządzić jak hospodar z portretu, który wisiał w jego pokoju. W ręku dzierżył buławę hetmana polskich poetów Ukrainy. Tolerował mnie, bo odwiedzałem go w Madrycie regularnie i nie zgłaszałem sprzeciwu, gdy utrzymywał, że tak jak jego przyjaciel najlepiej władał językiem hiszpańskim wśród Polaków, tak on był wśród nich największym znawcą hiszpańskiej literatury. Nauczony w Anglii kultywowania powściągliwości, nie protestowałem, dzięki czemu mogłem z Łobodowskim chodzić po Madrycie, a nawet zaglądać do *Radio Nacional*, w którym miał swoje pogadanki skierowane do Polski. Któregoś nawet roku

przespałem dziesięć nocy na podłodze w mieszkaniu jego przyjaciół pod nieobecność gospodarzy, w zamian za kilka garnców czerwonego wina. Łobodowskiemu lekarze dawali kiedyś pół roku życia, jeżeli nie przestanie pić. Poeta okazał się twardym pacjentem: operację przeżył, wina się nie wyrzekł, a pożył jeszcze dwadzieścia kilka lat.



Hiszpania, fot. pinterest

Z racji moich zainteresowań hispanistycznych skrzyżowałem z

Łobodowskim szpadę kilka razy. Był on żywiołem rzuconym przez los do kongenialnego kraju. Jego bujna kresowa wena poetycka, jego temperament znalazły świetną pożywkę w orientalnych elementach poezji hiszpańskiej. Pobudliwość, łatwość słowa i stepowa pamięć poety umiały transponować hiszpańskie teksty, poszerzać je i naśladować. Tą kolorową, pociągającą espanioladą potrafił czytelnika polskiego zafascynować. Przykładanie do tych utworów miar filologicznych mija się z celem. I trudno mieć pretensje o wierność przekładu tam, gdzie mamy do czynienia raczej ze swobodną przeróbką i obracaniem się w kręgu motywów i metafor zapożyczonych, z imitacjami, z różnego rodzaju pokrewnymi konstrukcjami. Można wieść spór o to, że liryki te odbiegały daleko i nie reprezentowały źródeł inspiracji czy nawet sprzeniewierzały się ich duchowi, że, tak jak to było na przykład w jego gazelach i kasydach, zatracały filigranowość, dyskrecję, delikatność i powściągliwość, cechy oryginalnych liryków, a stały się nieraz nazbyt hałaśliwe, przerysowane, nawet rubaszne.

Łobodowski strofowany za nonszalancję zwykł był odpowiadać, że obok skrupulatności praca tłumacza wymaga również ryzyka. Tego ostatniego nie dostrzegał w moich przekładach. Poddając w artykule „Dzieje andaluzyjskiego osiołka” moją polską wersję prozy poetyckiej Juana Ramona Jimeneza „Platero y yo” drobiazgowej, surowej, ale nie niesprawiedliwej krytyce zdobył się na to, by napisać, że

> Śmieja wyszedł z ciężkiej potrzeby ze zdrowiem, aczkolwiek przegrał niejedną potyczkę. (“Wiadomości”, 19. 11. 1961).

Dobrych, opublikowanych przekładów poezji hiszpańskiej ciągle jeszcze nie mamy zbyt wiele. Łobodowski latami zapowiadał antologię, ogłosił nawet przedpłatę na tom „Droga do Tobozo”, ale nie doczekaliśmy się jej publikacji. Drukując w roku 1975 w „Wiadomościach” artykuł „Szlak Don Kichota”, w którym opisał m.in. pieszą wędrówkę z domniemanej miejscowości narodzin Don Kichota Argamasilla de Alba do gór Sierra Morena, Łobodowski dodał:

> Powyższy tekst jest fragmentem większej całości, stanowiącej pierwszą część tomu „Droga do Tobozo”.

Książka miała liczyć 450 stron. Do jej drugiej części przeznaczał „Pieśni galickie” ogłoszone na łamach tegoż tygodnika trzy lata później. Jeszcze w ostatnim numerze „Wiadomości” (3/1816, marzec/kwiecień 1981) Łobodowski tłumaczył:

> Mój plan wydawniczy uległ poważnej modyfikacji, na czym najbardziej ucierpiała właśnie „Droga do Tobozo”. Zanim dojdzie do jej uwolnienia z drukarskiego aresztu, wyjdą

> przynajmniej dwie inne książki poetyckie, znacznie mniejsze rozmiarami: tomik wierszy politycznych pt. „Dytyramby nieprzejednane” oraz także drukowane częściowo w „Wiadomościach” wiersze śródziemnomorskie, pt. „Mare nostrum”. Zaś prenumeratorzy, którzy wpłacili przedpłatę za „Drogę do Toboso” zyskają na zwłoce: książka ulegnie znacznemu rozszerzeniu.

Wypowiedź sugerowała, że istniały już zasadnicze zręby antologii mogące jeszcze liczyć na wzbogacenie. W innym numerze „Wiadomości” pisząc o poecie nikaraguańskim Rubenie Darío napomknął:

> To dlatego włączyłem przekłady jego wierszy do części antologicznej wciąż jeszcze nie wydanej „Drogi do Tobozo”,

a w nocie do artykułu tłumaczył:

> Poród jest bardzo długi i trudny, ale mimo wszystko dziecko urodzi się żywe, a nawet dobrze podrośnięte.

Mimo tych wszystkich zapewnień teraz już wiemy, że trzeba nam się kontentować ułomkami w postaci fragmentów „Srebronia”,

części „Krwawych godów” i pojedynczych wierszy drukowanych w prasie i w czasopismach. Jego polityczna postawa uniemożliwiła druk jego przekładów w kraju, gdzie takie sprawy leżały nieraz w gestii osób nieliberalnych i do tego zawistnych. Janusza Strasburgera nie stać było nawet na gest, by wymienić wśród tłumaczy Jimeneza na język polski Łobodowskiego choćby z nazwiska, kiedy w Hiszpanii ogłosił komunikat naukowy o przekładach „Srebronia” i zbył go wzmianką o „ludziach, którzy przebywają poza Polską”.

Tymon Terlecki przemawiając w Chicago w 1977 roku na wieczorze poetyckim Łobodowskiego powiedział m.in.

> W historii polsko-hiszpańskich związków kulturalnych Łobodowski ma ważne miejsce. Nikt przed nim tak szeroko nie otworzył polszczyźnie Hiszpanii poetyckiej, nie sięgnął tak głęboko do skarbca jej liryki. (…) Ten dorobek, akt poetyckiego zaboru i przyswojenia na własność podsumuje wielka, 500 stronicowa antologia „Droga do Tobozo”, znajduje się w druku.

Istotnie, gdyby Łobodowski posiadał większą dyscyplinę pracy, mógł był się stać niedościgłym tłumaczem hiszpańskiej literatury, głównie poezji. Był w stanie stworzyć natchnioną antologię najcelniejszych utworów poetyckich mowy kastylijskiej.

Brakowało mu materialnego zaplecza, zabezpieczonego bytu, pomocy edytora czy chociażby sekretarki. Tak jak wielu emigracyjnych pisarzy roztrwonił czas borykając się z ciężką dolą pisarza za granicą pozbawionego środków utrzymania i niezbędnych pomocy dla usprawnienia, a choćby tylko utrzymania, warsztatu pisarskiego.



Hiszpania, fot. pinterest

W ostatnim liście Łobodowski pytał mnie, kiedy znowu pokażę

się w Madrycie, bo tymczasem z nie tak odległej Anglii przeniosłem się do dalekiej Kanady. Niestety, umarł trzy tygodnie przed moim kolejnym pojawieniem się na ziemi hiszpańskiej. Na wieść o jego śmierci zrezygnowałem z odwiedzenia Madrytu. Bez señora Lobo wydał mi się nagle zupełnie nieatrakcyjny.

———

Zob. też

http://www.cultureave.com/wschod-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/

Stefan Król. Głos w dyskusji.



London, Ontario

W roku 1972 członkowie Polonii w kanadyjskim mieście London założyli towarzyski klub dyskusyjny – zawieszony dopiero w roku 2015 – celem stworzenia platformy umożliwiającej wymianę myśli przez organizowanie odczytów i publikowanie swoich przemyśleń.

Warto przypomnieć niektóre wypowiedzi i ich autorów. Fizyk Stefan Król (1937-2015) należał do bardziej aktywnych i zasługujących na pamięć. Niniejszy tekst składa się z części listu napisanego przez Stefana Króla po przeczytaniu artykułu Floriana Śmieji o roczniku „Wiadomości” 1955 r. Mieczysława Grydzewskigo oraz fragmentów eulogii Marii Magdaleny Rudiuk na śmierć Stefana Króla.

Maria Magdalena Rudiuk



Stefan Król

Stefan był „wspinaczem”, który włączał do swoich prac szlachetne serce. Tym właśnie sercem obdarował swoją rodzinę i prace, jakie podejmował, co więcej wystarczyło mu tego serca także dla przyjaciół. Osobiście miałam szczęście i przywilej doświadczyć tego.

Angażował się, i jak sadzę, to miało swoją emocjonalną cenę, prawdopodobnie nie zawsze służyło zdrowiu. Tak właśnie myślę, ale żył swoim życiem i przeżył go do końca nie wyrzekając się Siebie i nie w rezygnując z zabierania głosu, w sprawach, które uznał za ważne. Jakkolwiek by nie było osądzone Jego szerokie społeczne, w tym polityczne zaangażowanie, to jestem pewna, że wszystko co robił, robił z najszlachetniejszych pobudek. Nie mam, co do tego najmniejszych wątpliwości, nawet gdybym nie

zgadzała się z Jego zdaniem.

Taki był Stefan: wielkiego umysłu, wielkiego serca i wielkiego poczucia odpowiedzialności własnej, a więc człowiek wysokiego morale. Nie było potrzeby ze wszystkim się z Nim zgadzać, aby mieć dla Niego szacunek, aby zobaczyć szlachetność intencji.

> Marianno, znajdź Kochana w sobie tę siłę, aby znieść ból utraty. Jesteś nie tylko żoną, ale i na wielkie szczęście i radość także matką i babcią, masz więc dla kogo nie tylko żyć dalej, ale też cieszyć się życiem i pielęgnować i przekazywać dalej pamięć o swoim wspaniałym Mężu, Ojcu, Dziadku i Przyjacielu wielu ludzi.

Stefan był i będzie żywy w naszej pamięci, jako jeden z rzadkich okazów – autentycznego renesansowego człowieka. Zastanawiające i znakomite połączenie umysłu analitycznego fizyka z szerokim spektrum zainteresowań filozofią, historią, literaturą, religią, sztuką, polityką, a przy tym, imponująca, gorąca, czysta wiara w wartości absolutne i oczywiście, co w tym wagi najwyższej – w Boga. Wierny syn Kościoła Katolickiego i tej odnawianej ostatnio tradycji polskiego katolickiego ducha zabarwionego miłością ojczystego gniazda.

Dla mnie Stefan był bardzo polski i doskonały w tej swojej polskości, szanujący świętość tradycji i umiłowanie gniazda i przy tym wyśmienite znawstwo polskiej kultury, oczytanie połączone i z własnymi przemyśleniami. Pisanie i komentowanie miał we krwi, tematy mogły być różne, ale klasa myślenia i pisania imponująca. Połączenie wielkiego serca i głębokich przekonań jest niebezpieczną dla zdrowia mieszanką. Wiele razy myślę, że intensywność przeżywania ma swoją cenę, zaangażowanie ma swoje konsekwencje i właśnie taki jest dla mnie przypadek Stefana. Mógł wieść spokojne życie profesora uniwersyteckiego na emeryturze w Kanadzie, ale to nie byłby Stefan.

Stefan Król

Po przeczytaniu artykułu nie zgadzam się z panią Danilewiczową. Jej drastycznie nieprzychylne sądy o Celinie Mickiewiczowej rażą absolutnym niezrozumieniem sytuacji psychicznej pani Celiny w małżeństwie z Mickiewiczem. Nie jestem feministą, ale to co zrobili z miłością małżeńską polscy romantycy (Mickiewicz, Krasiński) nie mogę przy maksymalnej przychylności dla wieszczów, zaakceptować.

To prawda, że Celina nie była muzą Adama. Ale nie jest prawdą, że nie chciała być. To Adam nie wyobrażał sobie, że mogła by nią być. Wynikało to z romantycznego radykalnego rozcięcia: ideału i codzienności, nie mających ze sobą żadnego styku. W sferze ideału romantyzm żył Unią Dusz Przed Wiekami Dla Siebie Stworzonych. Unię ciał akceptował, jeśli była sporadyczna i niebezpieczna, tzn. pozamałżeńska. Codzienność obdarzano jedynym uczuciem: pogardą. Bóle głowy żony, rodzenie dzieci, choroby dzieci, angażowanie nianiek i nauczycieli to było „kartoflane życie" – tak właśnie Krasiński nazwał codzienne radości rodzinne. W innej tyradzie przeciwko „zwykłym kobietom" o mężach, którzy lubią podobne radości, napisał, że „kochają się w mięsie", a matki jak „baryły" są tu nienawistne. Mickiewicz nie był tak drastyczny jak Krasiński, ale historycy literatury ustalili, że na początku małżeństwa Mickiewicz nazwał żonę „meblem", a w liście po śmierci żony, po wyrażeniu żalu, że wprawdzie umierała godnie, ale za życia duch jej źle mu służył, wylicza osobiste rzeczy jakie po niej zostały. Jest ro niemal symboliczne dla Mickiewicza całe życie Celiny było życiem rzeczy. A przecież młoda Celina nie tak zapewne sobie wyobrażała swoje życie z największym polskim poetą, gdy słuchała jak jej matka komponuje i gra muzykę do ballad Adama. Poeta dedykował jeden wiersz Marii Szymanowskiej – matce Celiny, żonie nie poświęcił nawet przecinka. Można przypuszczać – pewnym być nie można – że nigdy nie pomyślał, że krzątająca się w domu Celina jest również "matką Polką". Ona była

wyłącznie „matką jak baryłka”. Rzeczywiście urodziła mu aż sześcioro dzieci.



Celina Mickiewiczowa z córkami Marią i Heleną, obraz olejny autorstwa Zofii Szymanowskiej-Lenartowicz, 1850 r., fot. wikipedia.

Pani Danilewiczowa widzi dramat Adama. Bez wątpienia: to był wielki dramat, mający bezpośredni wpływ na literaturę polską. Nie widzi jednak dramatu Celiny, postaci bezpośrednio w

literaturze nic nie znaczącej, ale znaczącej w życiu równorzędnej Adamowi. Jej prawdzie życiowej należy się racja równa racji jej męża i ojca jej dzieci. Właśnie: historycy literatury ustalili, że w listach Celiny Mickiewiczowej, Adam występuje wyłącznie jako mąż, ojciec, niezbyt zaradna głowa rodziny, ale nigdy jako człowiek wybitny. Danilewiczowa powie, to histeryczny kopciuch mrożący „skutecznie wszelkie porywy poetyckie męża". Nazbyt prostoduszna stanowczość! Równie dobrze można pomyśleć, że celowe pomniejszanie geniusza to rozpaczliwa obrona kobiety zepchniętej przez garnki i dzieciaki w sferę pogardzanej codzienności, a uważającej, że jej się też należy udział w „wyżynach ducha". Nic dziwnego, że przy takim napięciu jej system nerwowy załamywał się.

Ciekawe, że romantyczna idiosynkrazja do żony przeżyła romantyzm. Pierwszym nowoczesnym polskim poetą, który żonę uczynił swoją muzą był Gałczyński. Już za to jedno postawiłbym mu pomnik. Byłby to drugi pomnik postawiony na ziemi polskiej z tego powodu. Pierwszy miałby Kochanowski. Jakże on pięknie pisał o swej żonie Dorocie.



Karol Szymanowski, fot. theviolinchannel.com

***

W naszej kanadyjskiej CBC sobotnie popołudnie poświęcone jest operze W jedną z sobót nadano w całości operę Karola Szymanowskiego „Król Roger”. Szymanowski wśród Verdich, Puccinich, Mozartów etc. – wyróżnienie nie lada, bo to wprowadzenie polskiej muzyki do światowej świadomości muzycznej.

Sobotnie popołudnie z Szymanowskim stanowiło dopiero jedną trzecią pocieszenia. Dwie trzecie dostarczył mi *BBC Music Magazine* wydawany w Londynie, który od dwu lat prenumeruję. Wiem co grają w najważniejszych salach koncertowych świata. (Głównie jednak europejskich, w tym czasami w Warszawie). Otrzymuję między innymi komentarze o jakości nagrań i co miesiąc jeden dysk z muzyką poważną. W porównaniu np. z

Polskim Ruchem Muzycznym, *BBC Music Magazin* jest na pewno bardziej handlowy. Otóż w tym magazynie jest mała rubryka „Kompozytor miesiąca”. Tym razem był Karol Szymanowski. Artykuł o nim napisał Jan Smaczny (Jestem prawie pewny, ze to Czech). Nie było w nim echów i achów, ale była rzetelna informacja.

O to właśnie chodzi. W czołówce informacyjnej redakcja napisała:

> A comopolitan Pole, he travelled far beyond the bounds for his native land *for* inspiration. Jan Smaczny tries to pin down this elusive figure in 20th century music.

Nie wiem dokładnie, co to znaczy *elusive*, ale na podstawie tego, co wiem, wydaje mi się, że przymiotnik ten dobrze opisuje status Szymanowskiego także w polskiej świadomości muzycznej.

I ostatnia część. Tenże *BBC Music Magazine* wydaje czasami numery monograficzne poświęcone ciekawym tematom (np. operze, dyrygentom muzycznym, muzyce dawnej). W numerze poświęconym liturgicznym inspiracjom w muzyce (głównie mszy św.) redakcja wybrała kilkadziesiąt dysków (45) *The best of sacred choral music*. Wśród nich są dwa polskie utwory: *Totus tuus Góreckiego* (Choir King’s College , Cambridge) i *Stabat*

Mater Szymanowskiego. W prezentacji dysku krytyk muzyczny BBC (Andrew Stewart) pisze między innymi:

The final movement „Chrystus niech mi będzie grodem", would feature high in my personal list of favourite sacred choral pieces, such is its emotional range, unaffected compassion and beauty of sound. The „Litany of the Virgin Mary" contains the same serene but fervent spirit of prayer.

***

Świat idzie z postępem. Prywatyzacja wciska się wszędzie. Więc i w naszym mieście sztywne instytucje kulturalne ulegają prywatyzacji. Dobrze to robi na ich prężność organizacyjną i zewnętrzną wystawność. Ale czy prywatyzacja równie dobrze wpływa na „uprawę", którą te instytucje powinny się zajmować? Można mieć co do do tego wątpliwości. Szkoda wszak podstawowym i pierwotnym sensem kultury jest właśnie uprawa. Uprawa ludzi. Bardzo to górnolotne sformułowanie, ale trudno nazwać inaczej. W każdym razie bez pewnej wewnętrznej normy obiady czwartkowe zamienią się – nie wiadomo kiedy – w salon bogatych cyganów.

O rodzinie Adama Mickiewicza pisał Władysław Pomarański:

http://www.cultureave.com/wladyslaw-mickiewicz-syn--wielkiego-ojca/

-

Meandry języka



Florian Śmieja (z prawej) i Jan Miodek (z lewej), fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Było to chyba jeszcze w 1935 roku, kiedy wychowawca tłumaczył nam zmiany w nowej ortografii, która miała obowiązywać od 1936 roku i dotyczyć wielu imion, a nawet nazwisk. Podpisywałem się wtedy Florjan Śmieja. W mig na kartce papieru złożyłem zmieniony, moim zdaniem, według nowych przepisów podpis i byłem rozczarowany, kiedy nauczyciel zgodził się na krótkie „i" w imieniu, ale kazał w nazwisku przywrócić „j". Może od tego momentu zacząłem dbać o pisownię mojego nazwiska. Kiedy więc kujony i puryści trzymając się ściśle przepisów nowej ortografii pisali w dopełniaczu "Śmiei", protestowałem najpierw nieśmiało, a potem mocniej. Odtąd mam problemy i mają je inni, którzy skłonni mi iść na rękę.

Tymczasem zacząłem krytyczniej patrzeć na odmianę rzeczownika kończącego się na –ja. Nie będąc fanatykiem gramatyki przecież zauważyłem, że nazwiska z końcówką –ja, Zieja, w odmianie zmieniają temat przed dodaniem końcówki przypadku. Tematem nazwiska Zieja jest Ziej, a nie Zie, także Śmiej, a nie Śmie. Dlaczego więc "Śmiei" ma być poprawne?

Przeszedłszy w Kanadzie w 1991 roku na emeryturę zacząłem latać do Polski, aby uczyć hiszpańskiej literatury. Wypraw tych było szesnaście. Pierwsze czteromiesięczne staże miały miejsce

we Wrocławiu. Na uniwersytecie poznałem znakomitego językoznawcę profesora Jana Miodka. Okazało się, że skończył to samo gimnazjum, co ja, w Tarnowskich Górach, a być może uczył mnie jeszcze jego ojciec w tzw. Ćwiczeniówce. Zaprosił mnie do programu "Ojczyzna-Polszczyzna". Zwierzyłem mu się z nękających mnie wątpliwości, co do słuszności niektórych reguł ortografii. Kazał uzbroić się w cierpliwość i zapowiedział zajęcie się tą sprawą rzeczoznawców. Jest więc nadzieja.

Na razie zadowolić się muszę sporą notą pod hasłem "Śmieja" w "Słowniku Ojczyzny Polszczyzny" Jana Miodka.

Zajsan u stóp Ałtaju

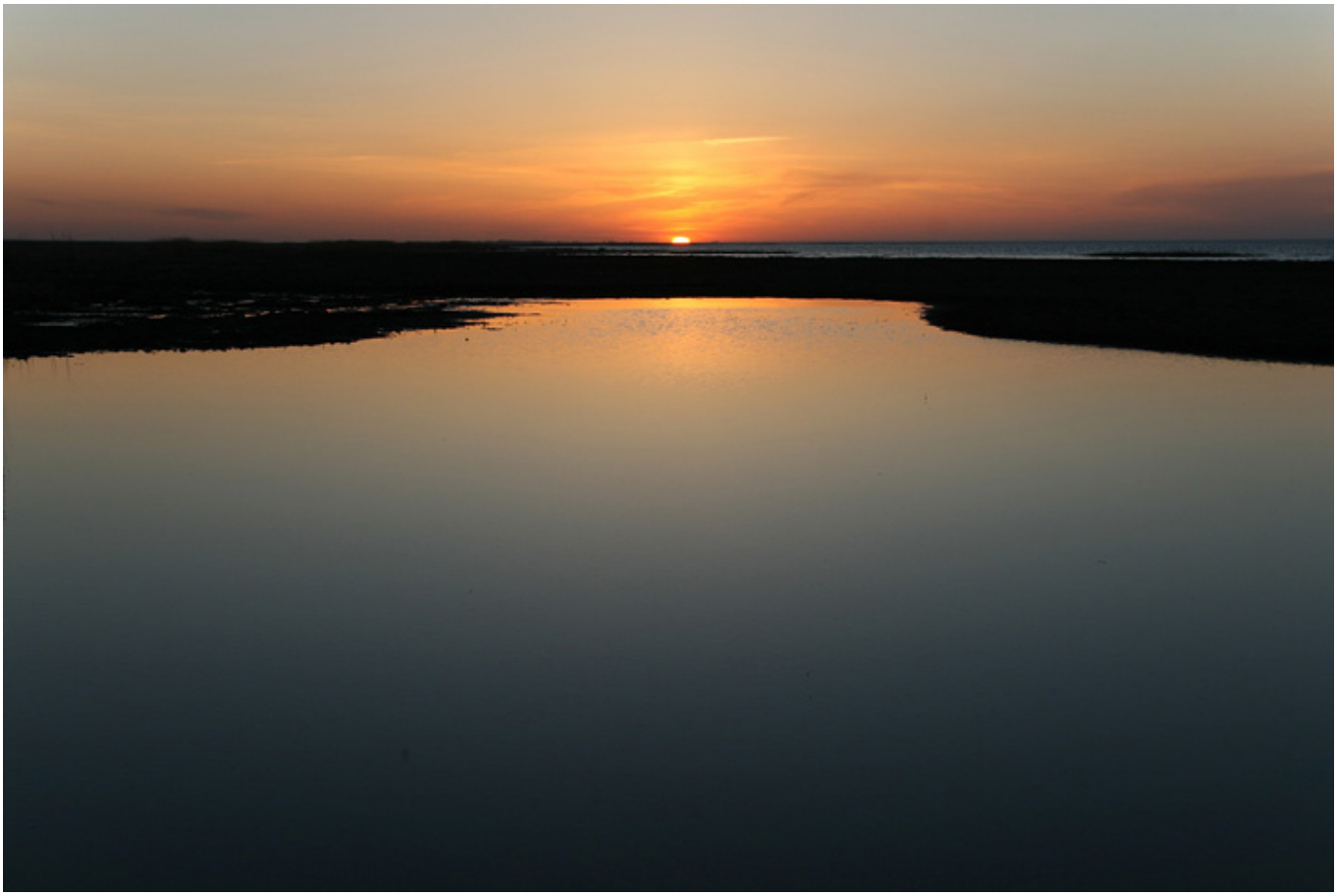

Jezioro Zajsan, fot. Dmitry A. Mottl, wikipedia.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Syberia była domem małżonków Bronisławy z Szemiotów i Modesta Iljinów aż do roku 1922 roku. Mieszkali w Dżungarji, w miasteczku Zajsan wtopionym w góry Ałtaju. 13 grudnia 1918 roku urodziło się trzecie dziecko – Wiktoria zwana Wiką. (Była to późniejsza sanitariuszka Wojskowej Służby Kobiet w Powstaniu Warszawskim, późniejsza artystka rzeźbiarka).

Gdy pytam Kaję o obrazy dzieciństwa, odpowiada mi, że swoje dzieciństwo wspomina jak piękną bajkę. Mieszkali na skraju miasteczka Zajsan, którego uliczki tworzyły szachownicę. Z

jednej strony była dolina dochodząca do stromego zbocza Ałtaju, z drugiej cerkiew tuż nad rzeką Dźminiejką. Dalej przechodziło się przez nieduży drewniany mostek i idąc w prawo, dochodziło do młyna, przy którym rzeka była przegrodzona kamienną tamą tworząc dość głębokie rozlewisko, w którym można było pływać. Przy letnich upałach dochodzących do 50 stopni Celsjusza, kąpiel w rzece sprawiała szczególną rozkosz. Nad brzegami rzeki, rosły różnorodne krzewy, dzikie róże, głóg, darnina. U stóp Ałtaju, za mostkiem, rozciągał się step, i tam gdzieś, ale nie wiadomo było gdzie, przebiegała granica między Rosją i Chinami. Step wyglądał dość jednostajnie, dopiero bliżej miasta rosły drzewa topoli, jarzębiny i czeremchy. Kwitnąca wiosną na biało czeremcha odurzała mocnym, przyjemnym zapachem. Niezwykle też pachniała lukrecja o słodko-mdłych korzeniach, przysmaku dzieci, które uwielbiały je wysysać. Lukrecja była znana od dawna w Chinach, Egipcie, Grecji, jak i w starożytnym Rzymie, wierzono, że jej korzeń posiada moc magiczną, używana też była jako roślina lecznicza.

Iljinowie mieszkali w dużym otynkowanym domu z płaskim dachem. Przez ogród przepływał aryk, specjalny kanalik (te kanaliki obsługiwały wszystkie domy w Zajsanie) o pionowych ścianach i płaskim dnie, którym płynęła źródlana woda z gór. Służyła do picia domownikom i wspierała całe gospodarstwo, a było ono rozległe. Obszerne podwórze otaczały zabudowania gospodarcze. W obejściu były trzy wielbłądy – baktriany, osobno

dwa konie, krowy, owce z charakterystycznymi dla tych regionów kurdiukami. Kurdiuk – to był taki jakby worek z tyłu owcy, jak garb u wielbłąda. Gdy owca jest chuda, zwisa z tyłu, gdy na jesieni jest tłuściutka, kurdiuk wypełnia się i przedłuża poziomo tułów o mniej więcej czterdzieści centymetrów. Były też świnie i wielkie wieprze, a także mnóstwo drobiu, indyki i kury.

Wielbłądy były dwugarbne, w wielkich worach zwanymi jukami dowoziły węgiel z „własnej kopalni". Kopalnia była odkrywkowa, stanowiła niewielkie wybierzysko podstemplowane na stromych, ale dostępnych zboczach Ałtaju. Nie było głębokie, gdy trzeba było stemplować głębiej, po prostu przenosiło się w inne miejsca. Kopalni doglądał Polak, inżynier górnik pan Napieraj. Poza węglem były kopalnie odkrywkowe grafitu, który służył do wymiany z Chińczykami między innymi na tkaniny, cukier, papier i zapałki. Napierajowie oprócz domku w Zajsanie – mieli także drugi niewielki domek, niedaleko kopalni, do którego przenosili się na lato. Stał on na wzgórzu nad strumieniem, stąd rozciągała się wielka dolina – step oparty o pionowo spadające potężne zbocze Ałtaju. W tym miejscu koczowniczy Kirgizi ze swoimi wielbłądami i stadem owiec rozbijali auł, miał on niewiele jurt, może siedem, może dziesięć. Wkoło były konie, wielbłądy i owce.

Bronisława Iljin często odwiedzała państwa Napierajów w ich letnim domku i zwykle zostawiała u nich Kaję. Napierajowie bardzo ją polubili, a ona zaś lubiła być w coraz to w innym

miejscu. Pamięta, gdy Kirgizi rozbili auł, ich małe dzieci biegały dookoła nago. Kaja często uciekała z samotnego domku państwa Napierajów na dół do aułu, a później za ich przyzwoleniem, nocowała u Kirgizów w jurcie na wojłoku, piła wielbłądzie mleko, jak i mleczny napój musujący zwany kumysem. Kirgizi częstowali pyszną herbatą w pięknych „kasieszkach" (były to filiżanki z chińskiej porcelany bez ucha trzymane za denko). Herbata mocna i wonna, nie brakowało jej dla nikogo, była lekko osolona i zaprawiana baranim tłuszczem. W kieszeniach trzymali bursaki, które często podgryzali. Bursaki były to kawałeczki ciasta krojone z cieniutkiego długiego ruloniku, zrobione z osolonej mąki z wodą i smażone w baranim tłuszczu. Kirigizi, prości i mądrzy ludzie, byli bardzo życzliwi i troszczyli się o dzieci. Podarowali Kai dwa niewielkie białe orły, które odleciały, gdy podrosły. Nie wie skąd były te orły, ale pamięta, że mogła je dotknąć i pozwalały się głaskać.

Wielbłądy po przywiezieniu węgla odpoczywały na podwórzu przy przybudówce domu, na której płaskim glinianym dachu Kaja budowała domek dla lalek. Wykazała przy tym niemałą determinację i pomysłowość. W pudełkach po zapałkach suszyła cegiełki z gliny, i właśnie z nich zbudowała gliniany domek.

Wielbłądy były wysokie, a przybudówka niższa od domu, więc lubiły wsuwać na nią głowy. Kaja chcąc się z nimi bawić, czasami drażniła je gałązką po chrapach, a one w odpowiedzi,

poirytowane, opluwały ją. Dokuczali sobie nawzajem tak długo, aż albo Kai, albo wielbłądom, się znudziło. Na ogół były łagodne i posłuszne, klękały, gdy się na nie wsiadało, kroczyły majestatycznie lekko się kołysząc. Mała Kaja jeździła na wszystkim, na czym się dało, na baranie, który tego nie lubił, na osiołku, bo był i osiołek, a także jeździła na świni. (…)

W dalekiej dolinie mieszkał w domu z zawieszoną nad tą doliną werandą stary człowiek – pszczelarz. Kaja jeździła tam konno ścieżką wśród wysokich gór z matką po miód. Nie pamięta pasieki i nie wiedziała, czy pszczelarz miał ule, czy też zbierał z barci w lesie, bo w tym rejonie był już las, ale miód zawsze był gotowy. Matka jechała na swoim gniadym koniku, który czasami był zaprzęgany do wozu lub zimą do sań. Zwykle koń bardzo tego nie lubił, skakał wtedy przez rowy w stepie zrzucając powożącego. Jeśli to była Mama, to wiedział o tym, zatrzymywał się, i był jej posłuszny. Właściwie nikt poza nią nie mógł na tym gniadym koniu jeździć.

Kaja jeździła przeważnie na oklep na wielkim starym karym koniu, którego grzbiet był wygodny i szeroki jak kanapa. Wygodniej było jeździć na wielbłądzie siedząc między dwoma garbami. Najczęściej jeździło się jednak konno lub bryczką, zimą saniami. Wielbłądy były zajęte wożeniem węgla.

W domu obok pokoju dziennego, dwóch pokoi rodziców,

osobnych Kai, jej brata i siostry, był także pokój Jefrosinji Fiodorowej. Była ona Rosjanką – „białą uciekinierką" zadomowioną w rodzinie Iljinów. Pochodziła spod Petersburga i była kiedyś żoną carskiego oficera. Bronisława przyjęła ją do domu i Jefrosinja zajmowała się gospodarstwem. Całymi dniami przebywała w olbrzymiej kuchni, z której prowadziły drzwi w różne miejsca, na przykład do przybudówki, która służyła jako letnia spiżarnia. Stały w niej słoje z konfiturami, wiadra pełne jakichś marynat, worki z kaszą i pszenną mąką (bo żyta tam nie było), wisiały pęta kiełbas i szynki. W domu był także specjalny duży pokój służący jako spiżarnia zimowa. Stały w nim wielkie beczki z kiszoną kapustą i niedużymi arbuzami. Na hakach wisiały całe połacie świń, baranów, zimą polewane wodą, zamrożone. Kolejne drzwi z kuchni prowadziły do łazienki nazywanej umywalnią.

Na środku wielkiego podwórza był „kierat", przymocowane do koła drągi, które obracał koń. Drągi miały na końcu zawieszone siedziska dla dzieci. Na taką jazdę na kieracie schodziły się dzieci z okolic. W tymże miejscu na środku podwórza zimą budowano górę lodową do zjeżdżania dla dzieci sankami, z wydrążonym wnętrzem i schodkami na szczyt.

Na podwórzu, w głębi, stał niewielki dom, w którym mieszkała „chaziajka". Nikt nie wiedział, dlaczego tak się właśnie ją nazywało, i Kaja nie wie, czy może była to właścicielka

wynajmowanego przez rodzinę domu. Co dziwne, nikt jej nie widział, a wieści krążyły, że była bez nogi. Dzieci nie chodziły w tamtą stronę i mały domek omijały z daleka.

Ojciec Kai pracował jako buchalter, a matka udzielała się wśród polskiej społeczności, na przykład zorganizowała Koło Polaków i została jego przewodniczącą. Miała dużo obowiązków, między innymi zajęła się organizowaniem pomocy tym Polakom, którzy około 1921 roku uciekali przed docierającym na te tereny bolszewikami. Przerzuty odbywały się przez pustynię Gobi na wschód do Chin. Kaja pamięta, że na drogę szykowano suchary, suszono mięso. Kiedyś naszykowany suchy prowiant leżał na otwartym oknie w kuchni i zjadł go koń, który także był przysposabiany do drogi, bo uciekinierzy wyjeżdżali konno. Pamięta, że przesuwano termin wyjazdu i były z tym jakieś kłopoty.

W miasteczku mieszkało wiele polskich rodzin i wszyscy starannie pielęgnowali święta i polskie tradycje. Polska była daleko i była niemal mitem dla wszystkich dorosłych. Dzieci żyły własnym życiem, którego obraz po latach nabierze jeszcze większego uroku. W tym wieku Kaja nie znała pojęcia ojczyzny, niewoli, i niewiele się zastanawiała nad rodzinną opowieścią, że ojciec kiedyś był zesłańcem na Sybir. Dzieciństwo odbiera się wprost, jako otoczenie i ludzie, którzy nas otaczają. Kaja pamięta, że jako małą dziewczynkę interesowała ją głównie

przyroda, zwierzęta i żyła z nimi w dużej symbiozie.

W mieście Barnauł po przyjeździe z Białegostoku zamieszkała matka Bronisławy, Elżbieta z Kuderskich Szemiotowa, zwana przez wszystkich Babunią, a także jej inne córki: Jadwiga (po mężu Białecka), Felicja, Konstancja, Józefa (która już wcześniej przeniosła się tam z Orenburga), i Waleria. Wszystkie ciotki były pracowite i przedsiębiorcze i dobrze sobie radziły. Kaja pamięta wspólne z ciotkami pływanie łódką po rzece Ob. Były zwykle dość uszczypliwe i mała dziewczynka nie lgnęła do nich. (…)

W młynie przy rzece Dżyminiejka mieszkała dziewczynka, starsza od Kai, dobrze ułożona i grzeczna. Była po jakiejś chorobie i dziergała dużo na drutach zachęcając ją także do tego zajęcia. Kaja zaś żadnych robótek kobiecych nie lubiła, nie miała koleżanek i ich towarzystwa unikała. Wolała z gromadą chłopaków biegać po polach, pływać w rzece lub pędzić w step. Wyrywali rosnącą na pagórkach w stepie wspomnianą lukrecję, której słodkie korzenie bardzo wszystkim smakowały i były dla dzieci jak cukierki.

Lubiła też biec ścieżkami w góry, gdzie w najwyższych partiach stały kozice bez ruchu, zanim je nie spłoszono. Wyglądały jak białe nieruchome rzeźby przyczepione do małych wystających skałek. Na dróżce często pojawiały się węże, wielkie, wygrzewające się w słońcu, lub niżej, wskakujące, a właściwie

wślizgujące się z chlupotem do rzeki. Chłopcy często je zabijali, o ile nie dało się ich ominąć na ścieżce.

Nie lubiła lalek. Pamięta, że szyło się je w domu, ale twarze miały ze skośnymi oczami, bo tylko takie maseczki przywozili Chińczycy, którzy przyjeżdżali do Zajsanu na handel, przywożąc między innymi główki do lalek. (…)



Widok na rzekę Ob w okolicach miasta Barnauł.

Barnauł był ładnym miastem o ciekawej architekturze. Położony wzdłuż jednej z największych rosyjskich rzek Ob, założony w 1730 roku jako osada, gdzie wydobywano srebro. Kopalnia srebra nadała mu specjalny status i szybko się rozwinął. W 1917 roku miasto liczyło już 70 tysięcy mieszkańców, i wciąż się rozwijało. Rok później połowa miasta została zniszczona przez ogień i potem pozostała część została zniszczona przez

rewolucję. W 1940 roku Barnauł zaczął ponownie się rozwijać, kiedy wiele firm przeniosło się w te rejony, aby uniknąć niemieckiej inwazji.

Zapamiętany obraz z wizyty u Babuni i ciotek w Barnaule: wieczór w Klubie Polskim. Panie ubrane w długie suknie, pięknie pachnące perfumami, jest „polski wieczór”, ma być teatr, będą deklamować także dzieci. Scena jest starannie udekorowana, dużo kwiatów i zieleni, lampiony. Kaja ma deklamować wiersz Adama Mickiewicza ”Powrót taty”. Jest na scenie, ale kurtyna jeszcze nie podniesiona. Dziewczynka nie wytrzymuje napięcia i zaczyna mówić:

> Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
>
> Za miasto, pod słup na wzgórek,
>
> Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
>
> Pobożnie zmówcie paciórek.
>
>
>
> Tato nie wraca; ranki i wieczory

> We łzach go czekam i trwodze;
>
> Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
>
> I pełno zbójców na drodze.

Mama przerywa – „Nie teraz. Zaczniesz, gdy podniosą kurtynę…”. Kurtyna idzie do góry, a Kaja z płaczem ucieka ze sceny.

Pamięta, jak na placu w miasteczku Zajsan, gdy przyszli tam bolszewicy, był słup wysmarowany chyba mydłem, a na jego czubku zawieszono parę butów. Buty były wtedy dużym skarbem, a miał je zdobyć ten, który wejdzie po śliskim słupie na sam czubek i je zdejmie. Amatorzy ześlizgiwali się już z połowy wysokości, i chyba nikt tych butów nie zdobył.

W miasteczku nie było sklepów, kwitł wspomniany wyżej handel wymienny z Chińczykami, którzy brali grafit w zamian za cukier w tzw. głowach. Cukier wtedy był sprzedawany jako jednolita bryła wysokości około 50 centymetrów w kształcie stożka o ściętym wierzchołku i średnicy na dole około 25 centymetrów, w górze 15 centymetrów. Łamało się go specjalnymi młoteczkami lub szczypcami, a kawałki wielkości mniej więcej naszych obecnych kostek cukru – ale różnych kształtów – podawało się

wraz ze szczypczykami do brania już w cukiernicach, przy samowarze.

Wszystko robiło się własnym „przemysłem i pomysłem”. W każdym polskim domu wykonywało się coś na użytek innych. Pod samymi górami Ałtaju mieszkała wdowa z dwiema dorosłymi córkami. Robiły kapelusze i szyły strojne suknie. Zdarzało się, że wszystkie Polki latem chodziły w różowych sukienkach, bo bela materiału przywieziona przez Chińczyka była akurat różowa. Bronisława Iljin dla wszystkich znajomych dzieci robiła sandałki. Piastun dzieci, stary Kirgiz, wytłaczał z wielbłądziej lub owczej wełny walonki na zimę, wojłokowe buty do kolan. U państwa Guzów była zaś tłocznia oleju, który tłoczyło się z maku.

Aby tłoczyć olej, latem jechało się w kilka wozów, niczym cygańskich, okrytych na pałąkach brezentem chroniąc przed upałem, który dochodził + 50 stopni Celsjusza. Jechało się z pościelą, samowarem i garami na odległe pola zasiewane przez Chińczyków makiem. Zabierało się ze sobą prowiant, bo jechało się na kilka dni lub na cały tydzień, aż gdzieś do niedalekiej granicy z Chinami.

Chińczycy zasiewali makiem całe połacie ziemi, która była niczyja. Gdy makówki były zielone, nacinali je nożykami, a gdy występujący w nacięciach sok tężał i nabierał koloru brunatnego, zbierali go nożykami. To było opium. Ziemi było tyle, że pola z

makiem pozostawiano i siało się każdego roku w innym miejscu. Mak dojrzewał i wtedy wyprawy organizowali Polacy.

Rozbijało się obóz, gotowało potrawy, spało pod gołym niebem na matach. Całe dnie odbywało się zrywanie i rozcinanie makówek i zsypywanie maku do worków. Wieczorem zasiadało się dookoła ogniska z rożnem, na którym piekł się baran i łuskało się mak do worków. Olbrzymi księżyc o jakimś kolorze żółto-zielonym, wzbijał się coraz wyżej, i była taka cisza, że słychać było szelest ziarenek maku obijającego się o makówki, gdy rodzinny kot Macio, którego także zabierano, chodząc po zagonach potrącał łodygi maku. Po powrocie do miasta u państwa Guzów w tłoczni wyciskało się olej, a wielkie krążki makuchy służyły do karmienia zwierząt.



Góry Ałtaj w Kazachstanie, fot. wikipedia.

Przygotowania do srogiej syberyjskiej zimy były różnorodne. Na przykład, biło się świnie i barany. Wielkie wianki suszonej kiełbasy i wędzonych szynek zapełniały spiżarnię. Duże beczki pełne jagód, żurawiny, marmolady, pastiły, a nawet beczułki z masłem ustawiało się rzędem w spiżarni w domu. Na zewnątrz w stodole pełno było zboża i siana, do składzików zwożono zapasy węgla i kiziaku. [Kiziak – to były okrągłe wielkie „placki" stłoczone z nawozu krowiego lub końskiego, które służyły na podpałkę].

W domu zimą było zawsze ciepło. Kirgiz – piastun palił w piecach i zabawiał dzieci „pożarami aułu". Jeden z pieców ogrzewający pokój dzienny i jednocześnie pokój Kai, miał wielkie palenisko od strony sieni. Na brzegu tego paleniska Kirgiz

ustawiał zrobione z papieru małe jurty, i zawsze któraś z iskier wywoływała pożar. Dzieci spędzały z nim wiele wieczorów. Szczególnie po powrocie z zabaw na zewnątrz, gdzie zimą mróz sięgał -40 stopni Celsjusza, chętnie siedziało się w domu. Piastun snuł różne opowieści, nie wszystkie dzieci rozumiały, ale atmosfera tych opowiadanych historyjek była zwykle tajemnicza.

Na Boże Narodzenie w dużym pokoju ustawiało się drzewko topoli. Okoliczne góry nie były porośnięte iglastymi drzewami, dopiero dużo dalej, w niedostępnej zimą dolinie, rosły świerki i jodły. Święta przy topoli, która o tej porze roku miała już lepkie dość duże pąki, były obchodzone uroczyście i z zachowaniem wszelkiej tradycji. Drzewko było ubrane wycinanymi przez Ojca papierowymi konikami, ptakami, lepionymi przez dzieci kolorowymi łańcuchami, z aniołem na czubku, piernikami i orzechami zawieszonymi w siateczkach zrobionych z bibułki. Drzewko obłożone płatami waty imitującej śnieg błyszczało migając dziesiątkami świeczek z Chin. Prezenty dla dziewczynek to były wspominane wcześniej skośnookie lalki szyte ze szmatek z główkami z celulozy. Były też wycinanki ojca, który miał duże zdolności plastyczne i potrafił dzieci obdarowywać pięknymi wytworami z papieru. Ojciec obdarzony pięknym głosem śpiewał kolędy. Stół był nakryty białym obrusem, pod nim leżało siano. Na stole na talerzyku był domowej roboty, wypiekany w domu cieniutki opłatek. I obowiązywało trzynaście potraw. Ryby sprowadzano łowione z odległego Irtysza i niedalekiego,

oddalonego o około czterdzieści kilometrów jeziora Zajsan. Były faszerowane, smażone, królowały szczupaki i bieługa w galarecie. Były też karasie i inne jesiotrowate. Była zupa grzybowa z uszkami, kutia, łamańce, kisiele, kompoty i torty Mamy. Bronisława wypiekała wspaniale torty biszkoptowy, orzechowy i inne z dodatkami miodu i maku.

Na co dzień atmosfera w domu była zdrowa ludzi czynnych, życzliwych sobie. Ojciec był zazwyczaj spokojny i łagodny. Kaja nie pamięta, by mówił ostrym czy podniesionym głosem. Matka zaś była energiczna, czynna i zwykle w dobrym humorze. Kaja nie pamięta żadnych pieszczot ani wielkich serdeczności. Traktowano dzieci jak dorosłych, serio, życzliwie, obowiązywała prawda, odpowiedzialność i posłuszeństwo. Nie było także żadnych uciążliwych ograniczeń. Dzieci były uczone samodzielności i obowiązkowości.

Kiedyś trzyletnia Wika wybrała się sama w góry, nikt nie wiedział gdzie zaginęła, poszukiwania trwały wiele godzin. Dziewczynkę szukało całe miasteczko, aż spotkał ją na górskiej ścieżce około trzech kilometrów od domu stary Piastun, Kirgiz schodzący z gór.

„Co tutaj robisz?” zapytał.

„Idę zobaczyć szeroki świat”, odpowiedziała.

Ta rezolutna odpowiedź dziewczynki była chętnie powtarzaną opowieścią przez wszystkich członków rodziny.

Kaja starsza od Wiki o trzy lata także robiła samodzielne wyprawy na drugą stronę rzeki, ale zawsze w grupie chłopaków. Inne dziewczynki w jej wieku nie oddalały się od domu, były wciąż dziecinne, a starszych nie pociągały takie wyprawy, jak po wspomniane korzenie lukrecji. (…)

Jesienią cała rodziną Iljinowie wyjeżdżali na pasznię. Było to pole, gdzie rosły arbuzy i dynie i o ile Kaja dobrze pamięta – pszenica. Żyta nie uprawiano i Bronisława tęskniła za żytnim pieczywem. Rosły za to właśnie olbrzymie melony i arbuzy. Melony były soczyste, słodkie i wonne. Arbuzy się soliło i kisiło, podobnie jak kapustę, mniejsze dodawało się do kiszącej w beczkach kapusty. Z paszni przywoziło się już dojrzale arbuzy i dynie. Sprawdzało się dojrzałość owoców w ten sposób, że nacinało się i wyjmowało trójkątny stożek, patrzyło, czy był czerwony i gotowy do spożycia. Gdy owoce były wciąż niedojrzale, wkładało się wycięty trójkąt z powrotem i zrastał się on z całością. Dopiero przy zbiorach można było dostrzec jakby pozostawioną bliznę.

Pasznie były nawadniane rowami z wodą ze źródeł górskich. Deszczy latem nie było. Kaja nie pamięta, czy wśród warzyw koło domu były ogórki, ale na pewno były pomidory. Z jagód i owoców

pamięta poziomki i uruk, słodki owoc wielkości dużego włoskiego orzecha i renglody z dużą pestką i bardzo słodkim miąższem. Jadło się je zwykle podsuszone jak rodzynki.

Mama robiła przetwory z poziomek, a z owoców dzikiej róży tzw. pastiłę. Była to gęsta marmolada, smarowana na płasko na arkuszach papieru lub deskach grubości około dwóch centymetrów, którą suszyło się na płaskim glinianym dachu, by potem zdejmować całe arkusze tego przetworu i kroić w kostkę – były pyszne jak cukierki. Dzieci łasowały w spiżarni i z rulonów pastiły urywały kawałki, co było o wiele smaczniejsze niż krojona kostka. Nigdy już w życiu nie spotkała takich owoców, jak w Zajsanie. (…)

Polaków z Sybiru łączyły wydarzenia historyczne, surowy klimat i niełatwa codzienność. Stawali się twardzi i zahartowani na niedole i braki, a także wrażliwi i otwarci na wszelkie nieszczęście innych. Ponoć Sybiracy, to ludzie wielkiego serca i honoru, którzy mają w sobie potrzebę i gotowość niesienia pomocy drugiemu człowiekowi. Na Syberii podróżni, pokrzywdzeni i głodujący spotkają się z uprzejmością i pomocą w myśl zasady – dzisiaj w biedzie ty, jutro mogę być ja.

Kaja z Ałtaju wyniosła zaufanie do ludzi, poczucie bezpieczeństwa, pełnię swobody. Zapamiętała, że wszyscy wkoło byli uczciwi, życzliwi, pomocni w potrzebie. Nie było

zamkniętych domów, żadnych nawet zamków pod klamkami. Co za luksus żyć bez kluczy i zamków. Domy były otwarte jak jurty, tylko wewnątrz gdzie nie gdzie „zaszczepki” (dzisiejsze haczyki). Duży dom w Zajsanie także nie miał zamków, drzwi zamykało się na klamki. Pierwsze kradzieże przyszły z rewolucją, która w okolice Zajsana dotarła z końcem 1921 roku.

Po latach Kaja powie, że okres dzieciństwa wydaje jej się szczególnie beztroski i szczęśliwy. Czas upływał radośnie, a swoboda i przestrzeń kształtowały charakter. Tak było do wspomnianego wyżej 1921 roku, kiedy do Dżungarii dotarł bolszewizm.

Kaja pamięta, że gdy kiedyś przejeżdżali przez mostek na rowie w stepie zobaczyła siedzącego pod nim nieżywego Chińczyka z oskalpowaną głowę. Widok był straszny! Był to sygnał, że bolszewicy są wkoło, bo oni właśnie tak „polowali” na Chińczyków.

Polacy wiedzieli, że muszą uciekać. W domu od jakiegoś czasu organizowano konne przerzuty mężczyzn przez pustynie Gobi na wschód. Gdy przyszli bolszewicy zaczęli wyłapywać ludzi, zaczęły się przesłuchania. W domach polskich urządzano jakieś mityngi. Rodzina z Barnaułu – Babunia i ciotki – wróciły do Polski wcześniej i zamieszkały w Białymstoku. Mieszkająca w dalekim Zajsanie pięcioosobowa rodzina Ilijnów z najmłodszą czteroletnią

Wiką żyła dalej normalnym trybem, ale zaczęli oficjalne starania o powrót do Polski. Formalności było dużo i długo trwało ich załatwianie. Przygotowywali się do wyjazdu starannie robiąc zapasy na drogę. Gdy wszystko było gotowe, wyruszyli w wielką, wręcz koszmarną podróż trwającą prawie rok.

Fragment książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża, wyd. Muza, Warszawa 2006.

Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża":

http://www.cultureave.com/kaja-od-radoslawa-czyli--historia-hubalowego-krzyza/

Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża

Rozmowy o książkach, które nie przemijają

Rozmowa z pisarką Aleksandrą Ziółkowską-Boehm

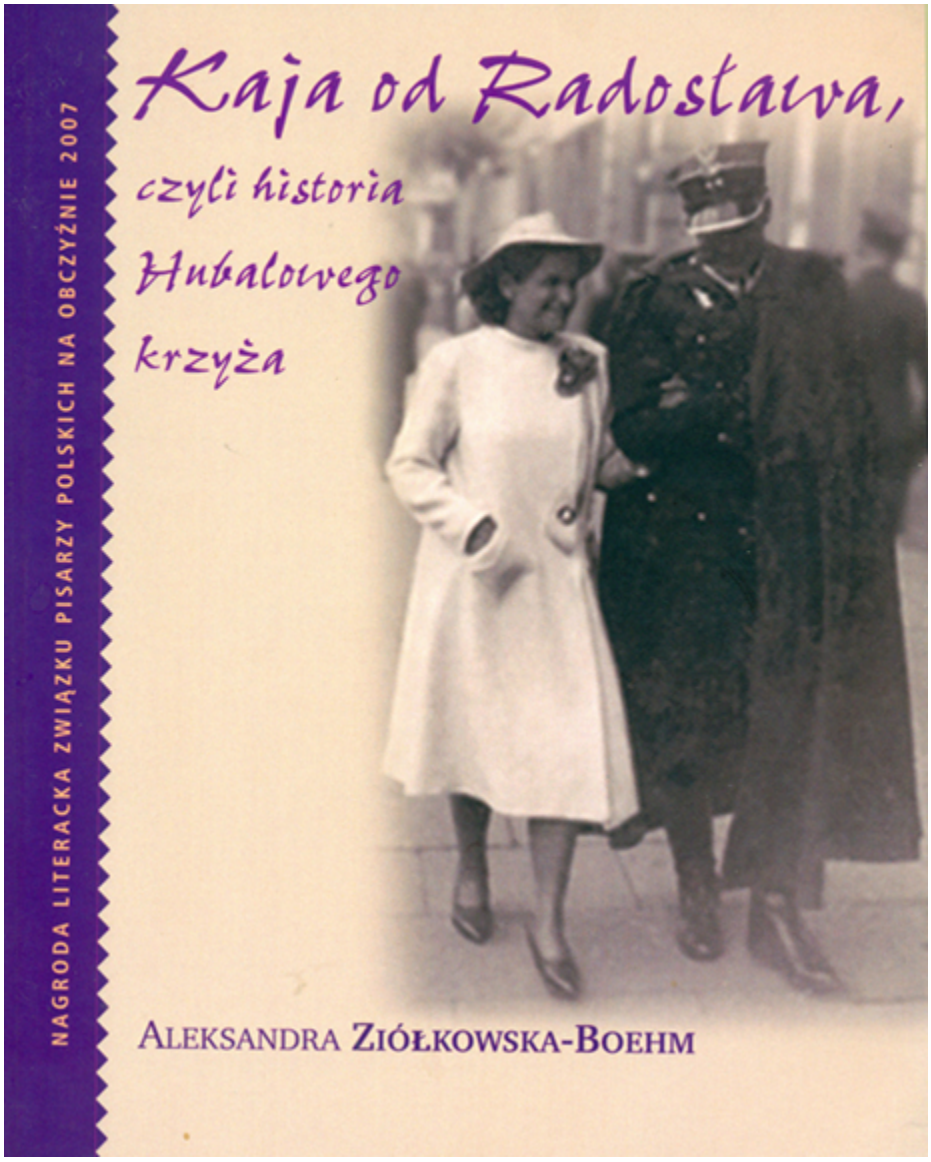

Drugie wydanie książki

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Warszawskie wydawnictwo Muza wydało Pani książkę pt. „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża" (pierwsze wydanie w 2006 r.). Książka jest tak napisana, że stała się bestsellerem. Ma dwa wydania w języku polskim i dwa w angielskim, interesujące recenzje, dostała nagrodę.

Czyta się ją jednym tchem. Przepiękny, literacki język,

niemal filmowe opisy przyrody, pozornie nieistotne, ale stwarzające koloryt chwili i zbliżające nas do bohaterki szczegóły z życia codziennego, pasjonująca opowieść o życiu zwykłym i niezwykłym, wiele faktów historycznych, zbadanych przez Panią i drobiazgowo opracowanych, wszystko to musi zapaść w serca i umysły czytelników, a jednocześnie dać duży bagaż wiedzy historycznej.

Proszę powiedzieć, co Pani czuła po napisaniu tej książki?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Książką tą spłaciłam swoisty dług wobec zaprzyjaźnionej ze mną od ponad 30 lat wspaniałej kobiety, i wobec szczególnego wpojonego mi obowiązku czy potrzeby, że należy dzielić się czymś dobrym, interesującym, by ocalić od zapomnienia.

Książka ta ma w zapleczu trudną polską historię ostatnich ponad 90 lat, bo tyle lat miała moja bohaterka, gdy o niej pisałam. Posuwając akcję i wydarzenia historyczne do przodu sięgałam po fragmenty książki historyka Marcina Kuli „Zupełnie normalna historia, czyli Dzieje Polski".

Na końcu swojej opowieści o Kai od Radosława napisałam:

„…Patrząc na życie Kai, zdumiewała mnie jej swoista zaradność, to, że nie zatraciła ambicji, radości i woli życia. Przeszedłszy

gehennę wojny, więzienie i obóz, stała się osobą twórczą, żywotną, a przecież zmagała się także z chorobami, problemami ze zdrowiem. Swoje życie ocenia pozytywnie. …Czy urodziła się „w czepku”, i wszystkie nieszczęścia, które ją spotykały umiała pokonać? Czy to sprawa charakteru i woli życia? Myślę, że ludzie różnią się między sobą tym, jak radzą sobie z problemami i jak z nimi walczą. Czy je przygniotą, złamią, czy dadzą powód do usprawiedliwiania, dlaczego życie było takie a nie inne, czy też zahartują, utwardzą, wzniosą, dadzą poczucie własnych możliwości, wyrobią charakter”.

Dlaczego wtedy, w latach okupacji, nie opuszczała jej wesołość i optymizm? Napisała mi na karteczce:

„Była wszędzie śmierć i rozpacz. Ale była i nadzieja i niczym nie dająca się zahamować radość życia dwudziestu kilku lat. Godzina policyjna i codzienne oczekiwanie, czy wrócą ci, co wyszli rano. Zaciemnienie i niebieskie płomyki w zapalonych kielichach. Patefon, ulubione „Sans Toi” i bomby. Powroty z akcji. Telefony, telefony, telefony. I niedzielne wędrówki w lasy. Róże i rany”.

…Czyli radość życia daje nie dająca się niczym zahamować młodość i beztroska dwudziestu kilku lat? …A później, do nas, wszystkich (– brzmi to jak stara i niemodna płyta) należy dbanie o teraźniejszość, by następnym pokoleniom lepiej się żyło. Zostajemy na straży przeszłości i staramy się ją uporządkować,

jak ja to właśnie robię snując swoją opowieść o Kai od Radosława, dzielnej, dumnej dziewczynie, którą kształtował „szeroki świat”. Tak kiedyś powiedziała jej siostra, która mając trzy lata zaginęła w górach Ałtaju w Dżungarii i odpowiedziała Kirgizowi, że poszła zobaczyć „szeroki świat”…

Tak pięknie pisze Pani we wstępie o przyjaźni, która łączyła Panią z Kają (Cezarią Iljin-Szymańską), „tą od Radosława” (zgrupowanie AK „Radosław” w Powstaniu Warszawskim), o wieloletniej wymianie myśli, spostrzeżeń, różnych życiowych historii i pomyśle na książkę, który przyszedł po wielu latach. Jak to jest, gdy pisze się czyjąś biografię?

Każdy z nas ma historię do opowiedzenia. Zacytowałam we wstępie przekazane przez Isaaka B. Singera „przesłanie dla pisarzy”: pisać, kiedy się ma *story to tell*, potrzebę opowiedzenia tej właśnie historii, pasję i przekonanie.

Nie napisałam typowej biografii, napisałam opowieść historyczną na podstawie życia konkretnej osoby. Jest to opowieść historyczna, bo właśnie wydarzenia historyczne wywarły – jak na wielu innych – duży wpływ na życie mojej bohaterki. Dzieciństwo na Syberii, szkoła w Wilnie, studia architektury w Warszawie, okupacja w Warszawie, Powstanie Warszawskie, obóz NKWD w Ostaszkowie i odbudowa Warszawy, w którą moja bohaterka –

ceniona architekt – była czynnie włączona.

Pokazałam te momenty z życia mojej bohaterki, które uznałam za charakterystyczne i szczególnie interesujące. Chciałam pokazać dzielnego człowieka, kobietę, której nie złamało życie, która wciąż jest ciekawa świata i ludzi, zawsze była dzielna i czynna. I pełna szczególnego optymizmu. Jak się mówi po angielsku *she is bigger than life.*

Aby opisać życie Kai wybrałam formę literackiej opowieści, ze scenami, dialogami, z przywoływaniem zaplecza historycznego. Wstawiam swoje własne opisy, odczucia, wrażenia, komentarze. W przypisach daję objaśnienia.

Podobnie napisałam kiedyś opowieść o Romanie Rodziewiczu: „Z miejsca na miejsce. W cieniu legendy Hubala".

Czy literatura faktu przeżywa obecnie rozkwit?

Absolutnie tak! Wańkowicz by się cieszył. Biografie, monografie, opowieści historyczne są obecnie bardzo popularne, w ogóle literatura faktu zdominowała rynek księgarski. Wystarczy wejść do księgarni (myślę o amerykańskich księgarniach) i zobaczyć, jakie książki wystawiane są w dziale nowości. Podobnie współczesny film oparty jest często na życiu prawdziwej osoby czy na prawdziwym zdarzeniu. Myślę, że XXI wiek będzie należał

do literatury faktu. Dobrze by było, by nagrodę Nobla dostała książka *non fiction* (przed laty nominowany był Ryszard Kapuściński).

Współczesny czytelnik jest głodny prawdziwych wydarzeń, nie ma czasu na fikcję. Piszę o tym w eseju: ” Literacki reportaż, opowieść, czyli literatura faktu”, który ukazał się w Stanach w nowojorskim kwartalniku „The Polish Review” i w książce „Untold Stories of Polish Heroes From World War II”. Po polsku fragmenty mają się ukazać w londyńskim „Pamiętniku Literackim” i całość w książce „Pisarskie delicje”, którą wydaje Bellona.

Za zainteresowaniem czytelniczym podąża rynek wydawniczy, tak więc i wydawcy chętniej wydają książki literatury faktu.

Patrząc na rynek amerykański wydaje mi się, że tak właśnie jest. Przykładem może być James Frey, autor wyróżnionej przez Oprah Winfrey książki „A Million Little Pieces”, która została bestsellerem jako opowieść wspomnieniowa z jego życia. Jak się dość szybko okazało, taką nie jest, autor wstawił wiele nie swoich wydarzeń, przejaskrawił inne. Frey tłumaczył się, że kiedy przyniósł maszynopis wydawcy jako powieść, ten mu ją odrzucił, ale powiedział, że zainteresowany byłby, gdyby była to książka biograficzna. James Frey przerobił ją i napisał w

pierwszej osobie, jako opowieść o swoim życiu. Książka została wydana i wywołała wielkie poruszenie. Kiedy okazało się, że jego życie nie było aż tak trudne i fascynujące jak jest w książce, powstał swoisty skandal.

Ale to już jest inny temat.

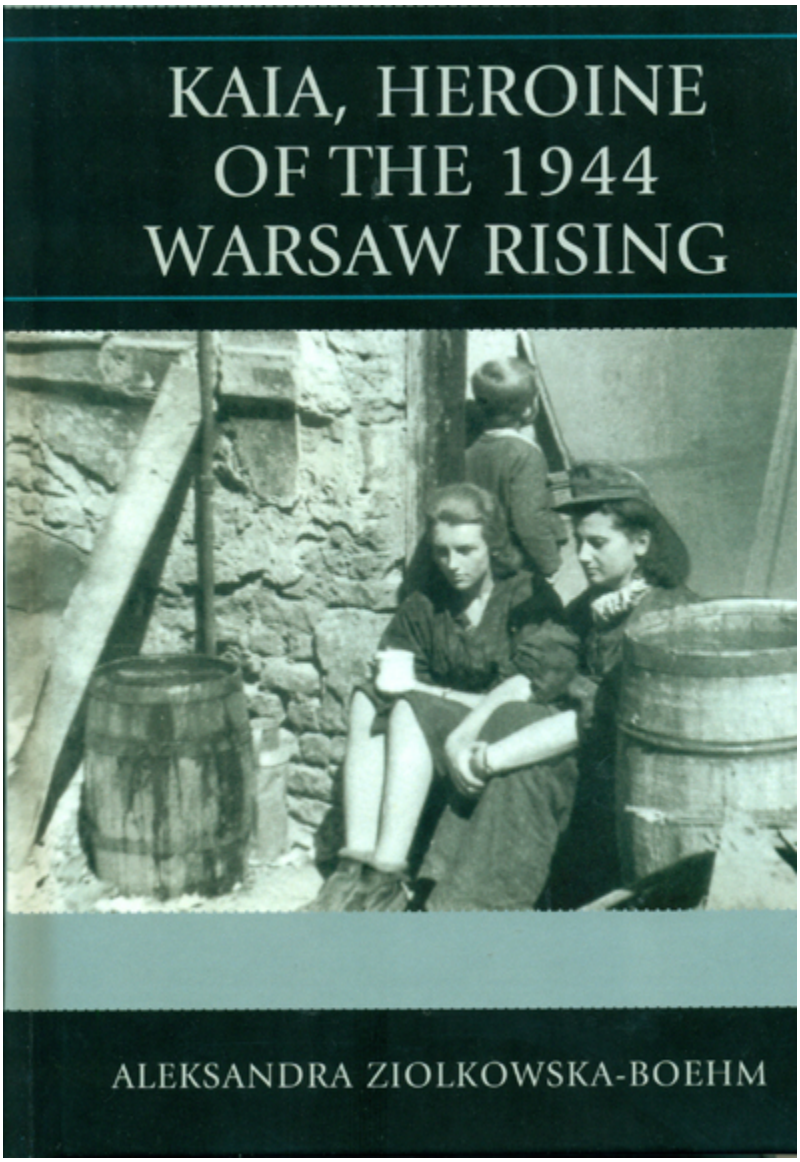

Amerykańskie wydanie książki.

Powracając do książki o Kai od Radosława. Jak się Pani do niej przygotowywała?

Przede wszystkim musiałam zrobić *research* dotyczący czasów i przestrzeni, które przywołuję. Czytałam książki historyczne, pamiętniki, wspomnienia. Uzgadniałam wszystko, co mogłam ustalić. Na przykład moja bohaterka zapamiętała z dzieciństwa na Syberii, że Barnaul miał kopalnię złota. Sprawdziłam, że to była kopalnia srebra.

W pierwszej części książki piszę o dzieciństwie Kai na Syberii, o kolonii polskiej, ludziach, którzy tam żyli w wielkiej symbiozie. Sprowadziłam z Polski książki znawcy tego tematu, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, Antoniego Kuczyńskiego. Potem sam mi przysłał monografię poświęconą Bronisławowi Piłsudskiemu, który był bratem marszałka. Jest to postać wybitna. Piłsudski za udział w zamachu na cara Aleksandra II skazany został na śmierć, potem zamieniono wyrok na 15 lat zesłania na Sachalin. Jego osiągnięcia naukowe stworzyły podstawę do badań etymologicznych i językowych ludów rosyjskiego Dalekiego Wschodu, plemion Syberii: Ajnów, Gilaków, Niwchów, Oroków i Mangunów. Kolejno – wraz z Wacławem Sieroszewskim – udali się na badania kultury Ajnów na wyspie Hokkaido (wówczas zwanej Yesso).

Przywołałam w swojej książce Polaków, którzy na Syberii

dokonali wielkich badań, ich imionami nazwane są tam góry, doliny i miasto.

Podobny *research* zrobiłam do kolejnych lat – czasów okupacji w Warszawie, Powstania Warszawskiego.

Sprawdzałam wiele podanych informacji dotyczących lat powojennych, nawet dotyczących dalekiej rodziny Kai. Jeden z kuzynów uchodził za bohatera, bo wysadził pomnik Stalina na Śląsku. Sprawdziłam i żadnego pomnika Stalina na Śląsku nie było. Drugi miał pracować jako dyrektor radia w Katowicach. Moi znajomi sprawdzili, dostałam listę wszystkich dyrektorów radia od wojny, nie było tam jego nazwiska.

Więc takie różne opowieści należy podawać ostrożnie.

Kaja po wojnie wiele podróżowała. Mój mąż Amerykanin zareagował na to zdziwieniem. – Jak to, to w Polsce komunistycznej ludzie jeździli na wycieczki za granicę?... Musiałam ten temat bardziej zbadać, bo wiedziałam, że takie pytania nie on jeden będzie zadawał. Dotarłam do interesującej książki Pawła Sowińskiego „Wakacje w Polsce Ludowej" (Wydawnictwo Trio). Autor z tego tematu doktoryzował się u profesora Marcina Kuli.

„Kaja od Radosława" ma blisko 100 przypisów i dołączoną

bibliografię.

Książka zawiera też bogaty zbiór fotografii.

Ustalałam je z graficzką i autorką okładki, Maryną Wiśniewską. Dostałam zgodę Bohdana Bułhaka na druk zdjęć zburzonej i potem odbudowanej Starówki warszawskiej jego słynnego dziadka, Jana Bułhaka; zdobyłam piękne fotografie z Powstania Warszawskiego Wiesława Chrzanowskiego (o którym piszę w książce wydanej pt. „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści" (Wydawnictwo Iskry). Cześć zdjęć miałam w swoim archiwum, a wszystkie własne i rodzinne dostarczyła mi bohaterka.

Książka ma ciekawą szatę graficzną, zdjęcia są wkomponowane w tekst. Są w niej także rysunki Kai – obozu w Ostaszkowie, kolonii polskiej w Ałtaju, i inne.

Książka ma piękne recenzje i głosy. Pisali je m.in. Krzysztof Masłon, Anna Bernat, Janusz Paluch, Krzysztof Zajączkowski, Hanna Karp, Anna Malcer-Zakrzacka, Katarzyna Sipko, Elżbieta Nowak, Regina Wasiak-Taylor, Krystyna Koniecka. W drugim wydaniu „Kai" na końcu książki przytoczone są wybrane fragmenty. Cezary Chlebowski w „Tygodniku Solidarność" napisał: "Lektura pisarstwa pani Oli to istna uczta duchowa. To nie tylko

wędrówka po wydarzeniach, ale i ich konsekwencje, bo autorka ma rzadki dar wyszukiwania białych plam w sprawach – zdawać by się mogło – powszechnie znanych. Jej pisarstwo (a jest to – obok „Kai" – także „Blisko Wańkowicza", „Kanada, Kanada", „Podróże z moją kotką" oraz piętnaście innych tytułów) cechuje wielka przestrzeń we wszystkich wymiarach. Choć pisze o sprawach polskich, nadaje im preriowy koloryt" . Fragmenty książki były też drukowane w kilku pismach.

Prof. Antoni Kuczyński wydrukował jeden w wydawanym przez Uniwersytet Wrocławski i Związek Sybiraków piśmie „Zesłaniec". Inny – dotyczący Powstania Warszawskiego – wydrukował jezuicki „Przegląd Powszechny", jeszcze inny – krakowski „Dziennik Polski" i nowojorski „Przegląd Polski".

A jak sama bohaterka – Kaja od Radosława – przyjęła tę książkę?

Gdy pierwsze egzemplarze były gotowe, współwłaścicielka Wydawnictwa Muza, Małgorzata Czarzasty, osobiście zawiozła książkę mojej bohaterce. Jak ładnie!

Po lekturze Kaja przysłała mi liścik:

„Kochana Oleńko! Książka jest piękna, brak mi słów żeby

wyrazić swój zachwyt. Dziękuję Ci z całego serca, że jest tak prawdziwa jak jestem ja sama. Ciągle jeszcze nie mówię, że byłam, bo nadal ciągle jestem i bardzo chcę się z Tobą zobaczyć. Całuję Cię serdecznie i czekam, Kaja".

Czy autor książki pt. „Oddział majora Hubala" Marek Szymański, to mąż Kai?

Tak, to jej mąż. Marka Kaja znała od czasów okupacji. Podobnie jak jej brat, Modest Iljin – pseudonim „Klin", był żołnierzem Hubala.

Marek Szymański to był bardzo dzielny człowiek, Kapitan saperów Armii Krajowej, używał pseudonimów „Sęp", „Rafał", „Czarny", dowódca piechoty w oddziale majora Hubala, uczestnik Wywiadu Wschodniego KG ZWZ OSR, II Północ-Wilno, Oddziałów dyspozycyjnych Kedywu KG AK, Kompanii Warszawskiej w 27 Wołyńskiej Dywizji AK, Baonu „Czata 49" Zgrupowania „Radosław" w Powstaniu Warszawskim. Odznaczony srebrnym krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, 4-krotnie Krzyżem Walecznych. Markowi Szymańskiemu poświęcona jest tablica wmurowana w warszawskiej katedrze polowej na ulicy Długiej.

W książce „Kaja od Radosława" cytuję jego wspomnienia, gdy w czasach stalinowskich siedział w więzieniu we Wronkach.

Miałam zaszczyt znać i Kaję, i Marka.

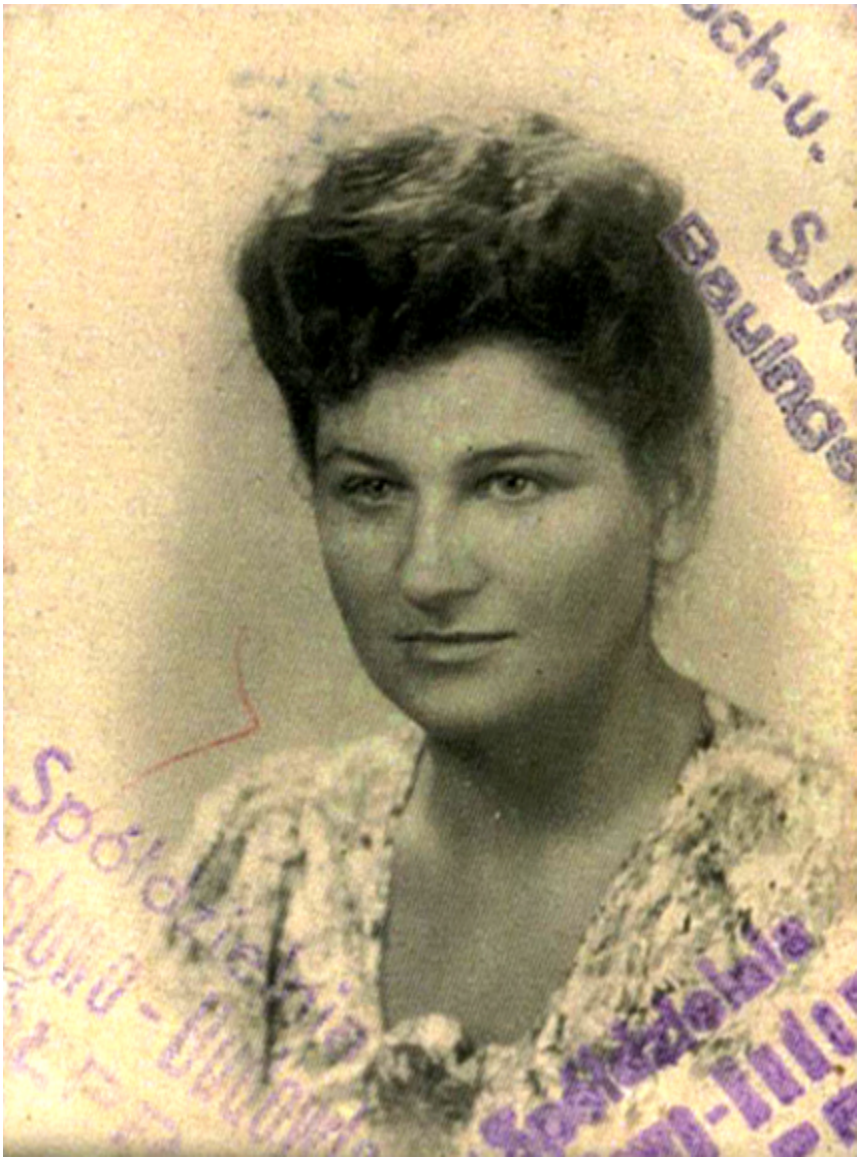

Kaja w okresie okupacji.

Co się stało z Kają po upadku Powstania Warszawskiego?

Kaja po Powstaniu Warszawskim, ranna, z wielkimi trudnościami pojechała do babci w Białymstoku. Tego samego dnia przyszło NKWD i ją aresztowało. Niebawem wywieziono ją do obozu

NKWD w Ostaszkowie. …Była w sandałkach, takim „ludzkim wężem”, gęsiego, szła z innymi po śniegu.

Wróciła do Polski jesienią 1946 roku z tyfusem, malarią, ważąc 38 kilogramów. Spotkali się z Markiem i już się nie rozstawali. Dzielni oddani Polsce ludzie.

W książce o Kai piszę także o Stanisławie Skalskim, wybitnym słynnym lotniku, który wrócił po wojnie do Polski. Jest tam też fotografia z naszego spotkania w warszawskim mieszkaniu.

W książce obecna jest legenda Majora Hubala. Nie jest to pierwsza Pani książka, w której obecna jest historia związana z oddziałem Henryka Dobrzańskiego. Napisała Pani książkę opartą na losach jednego z Hubalczyków Romana Rodziewicza pt.: „Z miejsca na miejsce. W cieniu legendy Hubala”, miała trzy wydania (Kraków 1983, Warszawa 1986, 1997; i kolejne – uzupełnione w wyd. Iskry w 2012 roku w tomie „Lepszy dzień nie przyszedł już”).

Za opowieść o Rodziewiczu otrzymała Pani doroczna nagrodę w dziedzinie literatury („Creative Nonfiction”) przyznaną przez Delaware Division of the Arts w 2006 roku. Jedna z jurorek, autorka książek i wykładowczyni “creative writing program na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, Suzan Sherman tak napisała o tej książce:

The narrative is immediately gripping and compelling – the reader feels in the moment from the first sentence without it even becoming "sensationalizing". The competent, even tone is perfect for subject matter describing such horror. **Takie książki dotyczące polskiej historii, wydawane w Ameryce obalają wiele stereotypów, wynikających z niewiedzy. Jak zostało przyjęte tłumaczenie „Kai od Radosława"?**

Książka ukazała się w Stanach pod tytułem „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising" miała dwa wydania (Lexington Books, 2012, 2014). Recenzje (są na tylnej okładce) napisali, między innymi Zbigniew Brzeziński, Charles S. Kraszewski, Stanley Weintraub, Anna M.Cienciala, Karl Maramorosch. Interesujące obszerne omówienie podano w brytyjskim „Reviews in History".

W 2007 roku „Kaja od Radosława" dostała nagrodę najlepszej książki roku londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Cytuję: „Jury Związku Pisarzy przyznało Nagrodę Literacką Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm za książkę napisaną z prawdziwą pasją i życzliwością do świata, za celny wybór bohaterki, której koleje życia odzwierciedlają pogmatwane i dramatyczne losy naszej ojczyzny".

Jury: Krystyna Bednarczyk-przewodnicząca, Magda

Czajkowska, Juliusz Englert, Andrzej Krzeczunowicz, Anna Maria Mickiewicz, Krzysztof Rowiński, Nina Taylor-Terlecka, Regina-Wasiak Taylor- sekretarz. Czym dla Pani było to wyróżnienie?

Bardzo się ucieszyłam. Żal mi było, że moja bohaterka nie doczekała londyńskiej nagrody; nie doczekała także amerykańskiego wydania książki.

W 2006/2007 była Pani stypendystką Fundacji Fulbrighta na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie ukazała się „Kaja od Radosława"... Uczestniczyła więc Pani w promocji książki.

Przebywałam dwanaście miesięcy w Polsce jako „Fulbright scholar". Towarzyszył mi mój mąż Norman. Oczywiście, bardzo cieszyłam się z tego stypendium. Przy okazji uczestniczyłam w promocjach książki – miałam spotkania autorskie w różnych miejscach, o których potem opowiadałam Kai. Była niestety już zbyt słaba, by w nich uczestniczyć.

Zmarła 17 lipca 2007 roku. Byłam na jej pogrzebie na warszawskich Powązkach. Była grupa jej przyjaciół, a także wydawca książki, Małgorzata Czarzasty.

Kaja zapisała Pani miejsce w swoim grobie na starych

warszawskich Powązkach. To chyba wielki dowód wdzięczności bohatera książki dla autora, największy, jaki sobie można wyobrazić.

To niezwykły dowód wdzięczności.



Grób Kai na Powązkach.

Miała też Pani niezwykłe spotkanie z dziećmi, które zainscenizowały fragmenty Pani książki i je zilustrowały. Proszę o tym opowiedzieć.

Kilka lat po śmierci Kai zostałam zaproszona z jej kuzynką Małgorzatą Szemiot-Zoll do Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowaczego dla Dzieci Słabosłyszących Nr 15 im. Ottona Lipkowskiego w Warszawie przy ulicy Zakroczymskiej 6.

Odbyło się przedstawienie wykonane na podstawie mojej książki o Kai. Słuchałam i patrzyłam w zachwyceniu. Przed uroczystością obdarowano mnie niezwykłym darem: kopiami około 30 kolorowych obrazów. Całość zatytułowana: *Życie malowane „szerokim światem" – szlakiem Cezarii i Wiktorii Iljin. Od szczytów Ałtaju po Bałtyk i Tatry. Prace plastyczne na podstawie książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm "Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża*".

Na końcu albumu słowa:

Bogate i piękne życie, tyle w nim lekcji historii: historii i patriotyzmu, przyrody i geografii, dobroci i altruizmu. Dziękujemy, wdzięczni wychowankowie.

Każdy obraz ma swój tytuł, zdanie z mojej książki o Kai, imię i wiek malarza.

Jakże piękne jest życie książki, która wywołuje taki szczególny odbiór… Jaka radość dla pisarza… Namalowane przez dzieci obrazy – ilustracje do książki, przedstawienie, które odbyło się w

szkole na Zakroczymskiej w Warszawie, było jednym z piękniejszych moich wzruszeń, szczególnych prezentów, które jako autorka otrzymałam.

Wygląda na to, że dała Pani Kai drugie życie, że jej losy nie poszły w zapomnienie, tylko są lekcją dla nowych pokoleń. To wspaniała misja, którą Pani spełniła.

Prace plastyczne na podstawie książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm ”Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża”, fragmenty albumu.


Życie malowane
"szerokim światem" - szlakiem
Cezarii i Wiktorii Ilijn
Od szczytów Ałtaju po Bałtyk i Tatry
Prace plastyczne wykonane na podstawie książki:
Aleksandry Żiółkowskiej - Boehm
"Kaja od Radosława
czyli historia Hubalowego krzyża"

Zajsan u stóp Ałtaju



"Miasto Zajsan"
Edyta, lat 12

"Mieszkali na skraju miasteczka Zajsan, którego uliczki tworzyły szachownicę."

Edyta lat 12.

Zajsan u stóp Ałtaju



"Dolina nad rzeką Dżyminiejką"
Ala, lat 11

"Gdy pytam Kaję o obrazy z dzieciństwa, odpowiada mi, że wspomina je jak piękną bajkę."

Ala lat 11.

Zajsan u stóp Ałtaju



"Kwitnąta czeremcha na stepie"
Karolina, lat 12

"Nad brzegami rzeki rosły rozmaite krzewy, dzikie róże, głóg, darnina. U stóp Ałtaju rozciągał się step."

**"Z jednej strony była dolina dochodząca do stromego zbocza Ałtaju
z drugiej cerkiew tuż nad rzeką Dżyminiejką**

Karolina lat 12.



"Panorama z rzeka"
Weronika, lat 10

"Kiedyś trzyletnia Wika wybrała się sama w góry, nikt jej nie widział dokąd poszła, poszukiwania trwały wiele godzin.Dziewczynki szukało całe miasteczko, aż spotkał ją na górskiej ścieżce jakieś trzy kilometry od domu stary piastun Kirgiz, schodzący z gór.
- Co tutaj robisz? - zapytał
- Idę zobaczyć szeroki świat - odparła."

"Kaja starsza od Wiki prawie o trzy lata także robiła samodzielne wyprawy na drugą stronę rzeki, ale zawsze w grupie chłopaków. Inne dziewczynki w jej wieku nie oddalały się od domu."

Weronika lat 10.

Barnauł



"Architektura w Barnaule"
Karolina, lat 12

"W Barnaule zgłosili się do miejscowego kościoła, gdzie dzieci były chrzczone, bo rodzice chcieli zabrać ze sobą do Polski metryki chrztu..."

Karolina lat 12.

Polskie uroki

Kaszuby,
Suwalszczyzna,
Bałtyk,
Tatry



"Jeziora na Suwalszczyźnie"
Joanna, lat 13

"Kaja i Marek urządzali wycieczki piesze po Tatrach, na Suwalszczyźnie, nad Biebrzą i na Kaszubach. Kaja chadzała dużo także z siostrą Wiką i kuzynką. Odbyły wiele wypraw zarówno pieszo jak i kajakami. Dużo chodziły po ziemi kartuskiej i pływały kajakami po jeziorach kartuskich,"

"Wiele lat później Kaja uświadomiła sobie przemianę, jaka zachodziła w jej odbiorze kraju po przyjeździe z Zajsanu. Zawsze widziała wszystko w kolorach i często porównywała miejsca do obrazów malowanych przez Gauguina i van Gogha."

Joanna lat 13.

Okupacja
Powstanie Warszawskie
Obóz w Ostaszkowie



"Krzyż Virtuti Militari
majora Henryka Dobrzańskiego Hubala,
wyjęty ze skrytki w obcasie
po powrocie do wolnej Polski"

"Krzyż był ze mną pięćdziesiąt cztery lata. Był ze mną pod panterką w Powstaniu Warszawskim,
na szlaku bojowym Wola, Sterówka Czerniaków, przeprawa przez Wisłę, szpital polowy w Aninie.... ,
w czasie wędrówki do Wilna, trafił ze mną do piwnic NKWD w Białymstoku,
a potem dz obozu NKWD nr 41 w Ostaszkowie... ."



Fragment książki „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża" ukaże się w poniedziałek 17 września 2018 r.